

Wszystko o Ewie

Fundacja im. Stefana Batorego
ul. Sapieżyńska 10a
00-215 Warszawa
tel. (48 22) 536 02 00
fax (48 22) 536 02 20
batory@batory.org.pl
www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne:
Izabella Sariusz-Skąpska

Korekta:
Joanna Liczner

Projekt graficzny i skład:
Witold Gottesman

© Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego

Druk:

ISBN 978-83-62338-09-2

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Nakład 5 000 egzemplarzy

Warszawa 2011

Krzysztof Burnetko i Anna Mateja

*Wszystko
o Ewie*



FUNDACJA
IM. STEFANA BATOREGO

O AUTORACH

Krzysztof Burnetko

(ur. 1965) – publicysta, autor scenariuszy filmowych. W latach 1988-2005 pracował w „Tygodniku Powszechnym”. Następnie związany z „Polityką”. Współautor wielu książek, m.in. *Kapuściński: Nie ogarniam świata* (2007), *Marek Edelman. Życie. Po prostu* (2008) oraz *Nasza historia. 20 lat RP.pl* (2009). Autor raportów o tematyce społeczno-prawnej przygotowanych dla Fundacji im. Stefana Batorego i Instytutu Spraw Publicznych. Członek Obserwatorium Wolności Mediów przy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Anna Mateja

(ur. 1973) – publicystka. W latach 1996–2008 redaktorka „Tygodnika Powszechnego”. Wydała *Cud w medycynie na granicy życia i śmierci. Opowieści lekarzy* (2010). Laureatka nagrody dziennikarskiej Grand Press w kategorii wywiad za 2007 rok za rozmowę z Ewą Szumańską.



SPIS TREŚCI

1

***Przedszkole, czyli grzeczna
Ewcia i męski Adaś 9***

2

Ewka chodzi do szkoły 19

3

Ewa idzie na studia 31

4

Ewa pracuje. Za darmo 45

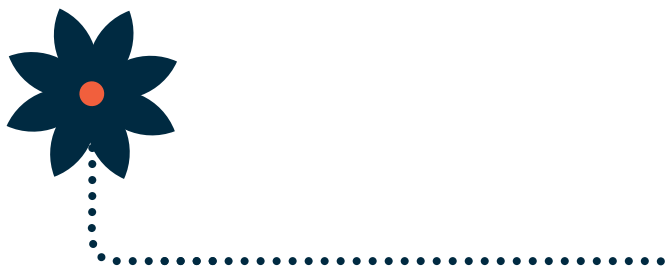
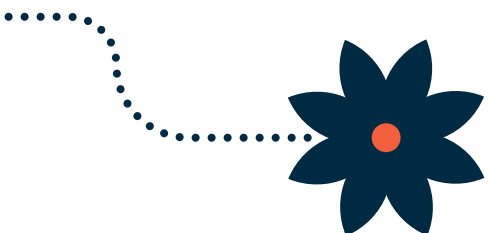
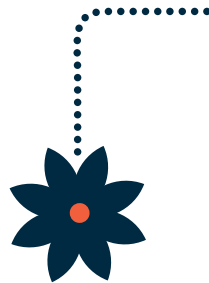
5

Ewa w kwiecie wieku 59

6

Ewa na emeryturze 73



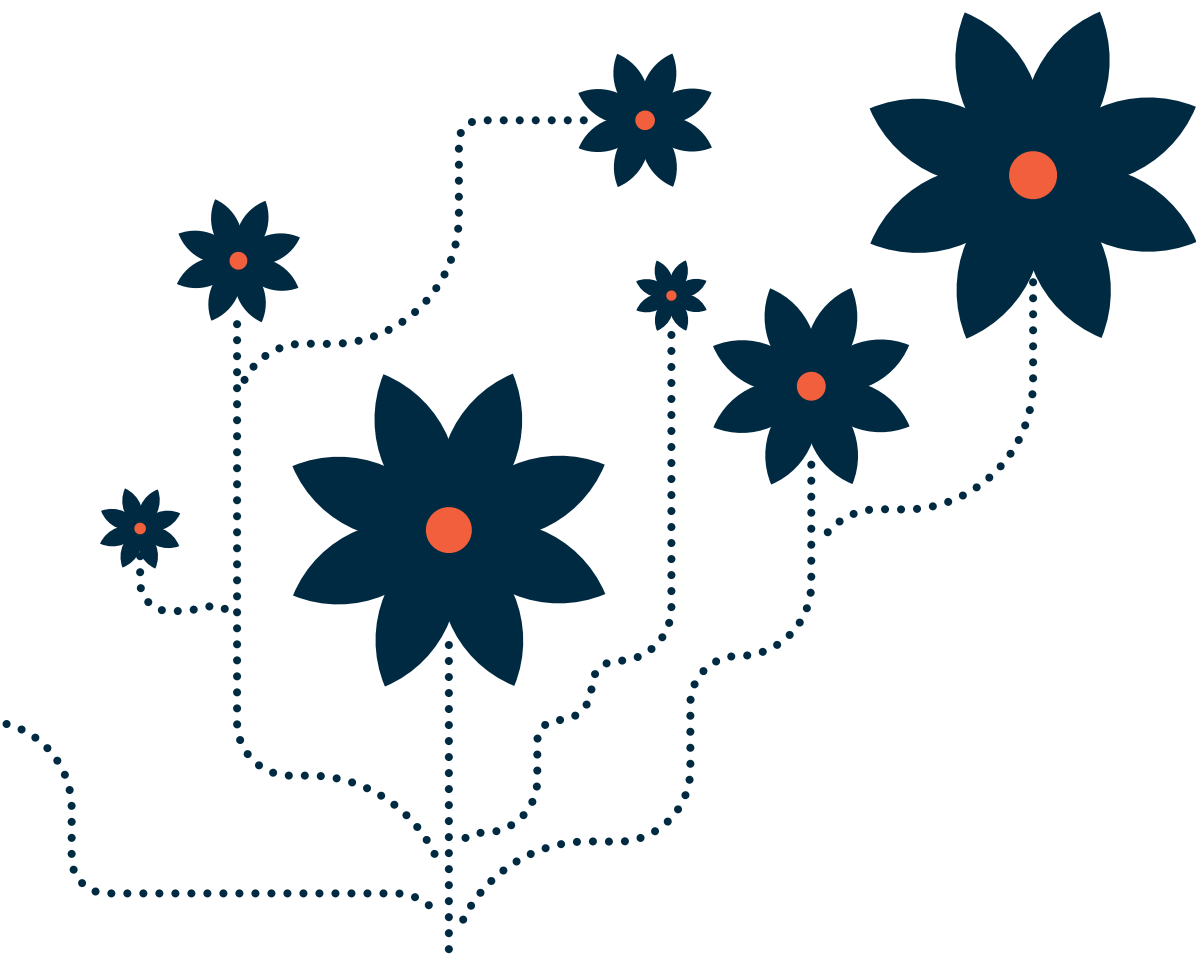


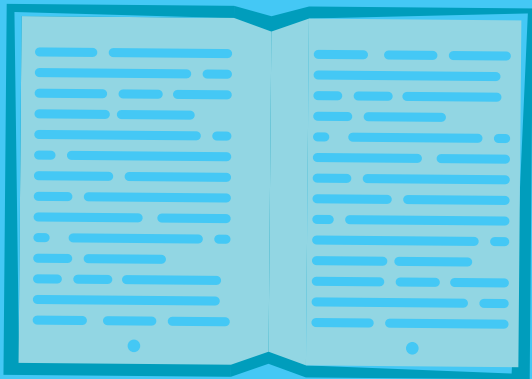
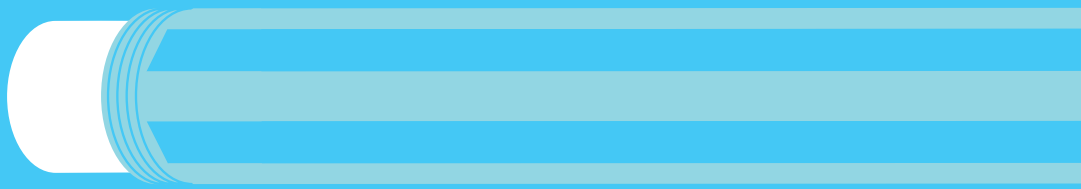
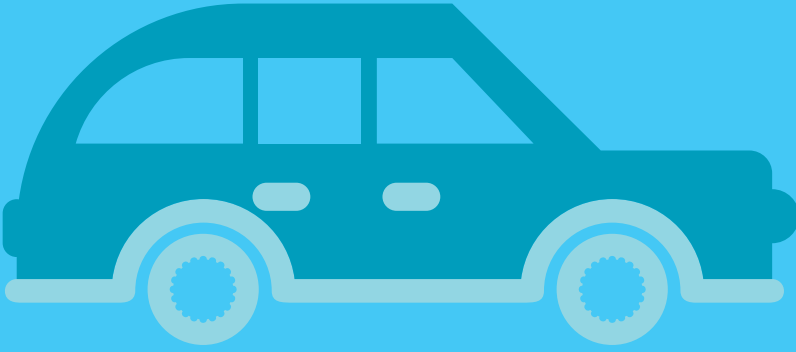
PODZIĘKOWANIA

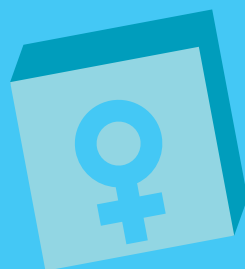
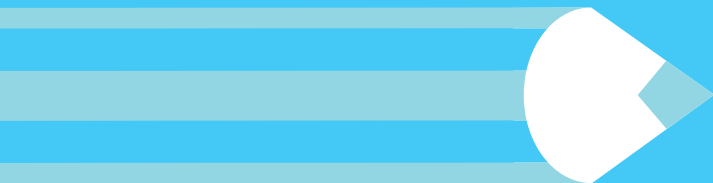
Dlaczego w interesie społecznym leży równouprawnienie kobiet? Dlaczego należy o nie walczyć, tak jak walczono z innymi wielkimi dyskryminacjami w historii? Istnieje wiele poważnych raportów na ten temat. Zależało nam jednak, aby zawarte w nich dane oraz argumenty zostały opisane przystępnym językiem, a następnie dotarły do szerszej publiczności.

W pracach nad koncepcją książki uczestniczyli: Henryk Domański, Anna Dzierzgowska, Małgorzata Fuszara, Ewa Lisowska, Radosław Markowski, Lidia Ostałowska, Piotr Pacewicz, Aleksander Smolar, Agata Szczęśniak, Magdalena Środa, Eleonora Zielińska oraz Agnieszka Graff, Joanna Piotrowska i Irena Wóycicka, które nie tylko pomagały nam w realizowaniu całego zamierzenia, ale później także uważnie recenzowały przygotowywaną publikację. Wszystkim tym osobom dziękujemy za współpracę.

Za wnikliwą lekturę i uwagi do maszynopisu dziękujemy Jackowi Kochanowiczowi, Rafałowi Szymczakowi i Ewie Woydyło.







1

*Przedszkole,
czyli grzeczna Ewcia
i męski Adaś*

Ewcia ma lalę. Adaś ma samochodzik betoniarkę. Dostali je do zabawy od pani w przedszkolu. Kiedy Ewcia też chciała spróbować, jak jeździ auto, pani się zdziwiła: „Dziewczynka, a sięga po zabawki chłopaków”. A już prawie nakrzyczała na nią, gdy nie chciała oddać Ali lalki, którą sobie właśnie wzięła do zabawy. Pani powiedziała wtedy: „Dziewczynki powinny być grzeczne i ustępować”.

Tak samo pani zareagowała na placu zabaw, kiedy Ewcia chciała powspinać się, jak chłopcy, po „małpim gaju”. Kazała jej iść na huśtawki, gdzie bawiły się koleżanki. Albo z innymi dziewczynkami bawić się w skakanie „w klasy”.

Zresztą w przedszkolu Ewci i tak nie jest źle. Panie nie zwracają uwagi, gdy się jest ubraną w spodnie – jak chłopcy. No i wśród zabawek są też zwykle pluszowe miśki i szmaciane pajace, a nie tylko różowe lalki Barbie z zimnego plastiku i ze sztucznymi włosami – jak tam, gdzie chodzi koleżanka Ewci z podwórka, Zuzia.

Panie wychowawczynie – bo w Polsce to kobiety niemal w stu procentach stanowią personel przedszkoli – dzięki coraz częstszym w ostatnich latach szkoleniom doksztalającym powinny wiedzieć, że **dzieci w przedszkolu nie tylko poznają otaczający je świat, ale także uczą się budowania relacji z innymi oraz swoich przyszłych ról społecznych.** Jednym z kluczowych czynników wpływających na integrację osobowości jest zaś właśnie zabawa.

Pewnie słyszały także, że do najważniejszych potrzeb psychicznych dzieci należą: poczucie bezpieczeństwa – rozumiane m.in. jako poczucie bycia akceptowanym, poczucie własnej wartości – czyli aprobaty dla siebie samego i własnych działań, także w grupie rówieśniczej, oraz potrzeba autorytetu – takich dorosłych, którzy potrafią wytyczyć jasne granice, a jednocześnie dać dziecku zrozumienie, bliskość i akceptację, nawet jeśli postępuje ono niezgodnie ze stereotypami.

Być może znają nawet wyniki zarówno zachodnich, jak i rodzimych badań socjologicznych dotyczących stereotypów u małych dzieci. Okazuje się, że dla małych dzieci to płeć jest kluczem do oceny otoczenia (innych ludzi). Zasada jest prosta: chłopcy uważają innych chłopców (i mężczyzn) za lepszych, a płeć przeciwną – za gorszą. Analogicznie postrzegają świat dziewczynki. W wieku przedszkolnym płeć wpływa zresztą nie tylko na klasyfikowanie ludzi, ale też na przykład na zapamiętywanie opowieści (chłopcy wolą bajki z męskimi bohaterami i odwrotnie).

Może panie wychowawczynie zetknęły się z jedną z koncepcji rozwoju postaw społecznych u dzieci, a mianowicie teorią społecznego odzwierciedlenia uprzedzeń. Jak opisuje ją Barbara Weigl ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej: „proces przejmowania stereotypów i postaw, podzielanych

w rodzinie czy w ważnych grupach społecznych, rozpoczyna się bardzo wcześnie. Nabywanie to jest częściowo nieświadome, niezależne od własnej aktywności dziecka. Podstawową rolę w treści przekazywanych poglądów i nastawień odgrywają kontekst społeczny, w jakim wychowuje się dziecko, i kulturowo podzielane wartości, na przykład tolerancja i równość lub przeciwnie – dyskryminacja i ksenofobia. Poprzez proces społecznego uczenia się (modelowanie, empatyczne przejmowanie wzorców, przekazywane wartości, baśnie, przestrogi, etykiety) dzieci przejmują postawy i stereotypy własnej grupy społecznej. Utrwalanie się nabytych preferencji postępuje wraz z wiekiem i gromadzeniem przez dziecko wiedzy społecznej (należy pamiętać, że naturalne jest poszukiwanie informacji zgodnych z dotychczasowymi przekonaniem, a nie zaprzeczających im!).”

Więcej, to właśnie doświadczenia edukacyjne z przedszkola mają podstawowe znaczenie dla procesu uczenia się i tworzenia pozytywnych postaw społecznych oraz modyfikacji uprzedzeń. To przedszkole jest w praktyce często jedyną organizacją publiczną mającą szansę prowadzenia względnie systematycznej i wielowątkowej pracy na rzecz kształtowania pozytywnych postaw społecznych u dzieci. Przecież dziecko w ciągu dnia często spędza w przedszkolu więcej czasu niż z rodzicami! A pani jest dla niego wzorcem osobowym – osobą znaczącą, mogącą konsekwentnie, autorytatywnie i skutecznie przekazywać mu ważne wzorce i wartości. Zwłaszcza że dzieci są niezwykle podatne na wpływy: uczą się zachowań przez podpatrywanie i naśladowanie dorosłych.

Wszystko to sprawia, że właśnie przedszkolny etap życia będzie miał olbrzymi, choć oczywiście wcale nie ostateczny, wpływ na to, jak Ewcia i Adaś będą później – już jako Ewa i Adam – układali sobie życie rodzinne, zawodowe, a nawet publiczne. Badania pokazują, że nie można czekać z „równościowym” wychowaniem do czasu, kiedy dzieci zaczną szkołę – wtedy chłopcy i dziewczęta są już wtłoczeni w przypisane im w przedszkolu role.

Ewcia, bawiąc się – za aprobatą pani – w przedszkolnym kąciaku lalkami, siłą rzeczy podświadomie nabiera przekonania, że najlepiej wychodzi jej opieka nad dzieckiem, a do innych zajęć niekoniecznie się nadaje. Równocześnie może uznać, że chłopcy (mężczyźni) dziećmi nie powinni się zajmować.

Co ważne: podobna sugestia kierowana jest do chłopców. Adaś też może uznać, że opieka nad dzieckiem to czynność „dziewczyńska”

– a on sam nie jest w stanie sprawować jej należycie, powinien więc znaleźć sobie inne zajęcia. W przyszłości może to stymulować wybór modelu rodziny (przede wszystkim wzorca tradycyjnego: kobieta – gospodyni, zajmująca się szeroko rozumianym domem, i mężczyzna – „jedeny żywiciel”, ograniczający się do pracy zawodowej, m.in. kosztem wychowywania dzieci).

Podobny mechanizm zachodzi w efekcie pochwał za bycie „grzeczną”, „miłą” i „łagodną”. Naturalnie, grzeczność (oraz bycie miłą i łagodną) sama w sobie nie jest niczym złym. Ba, w kontaktach międzyludzkich jest wręcz pożądana i stanowi warunek ich poprawnego ułożenia. Kłopot pojawia się, kiedy grzeczność przybiera formę nadmiernej uległości – może bowiem prowadzić wtedy do wyzbycia się przez grzeczną osobę własnych potrzeb i pragnień, a w efekcie do umniejszenia samej siebie. Wtedy grzeczność staje się – najpierw w fazie dziecięcej, a potem w życiu dorosłym – czynnikiem zagrażającym wolnemu i prawidłowemu funkcjonowaniu jednostki. Ewcia uczona w przedszkolu, by – jeśli chce być grzeczną dziewczynką i zostać za to pochwalona – zawsze godziła się ze zdaniem czy nawet zachciankami innych, już wtedy czuje się gorsza od kolegów w grupie, co może skutkować dziecięcymi załamaniem.

Efektem jest zakorzenienie się w Ewci i Adasiu uproszczonego stereotypu płciowego: „kobiecej kobiety” i „męskiego mężczyzny”. Dzieci kojarzą kobietę z ciepłem, dobrem i pracami domowymi, a mężczyznę – z siłą, sprawnością i asertywnością.

Tyle że ma to w przyszłości niekoniecznie pozytywne skutki.

Wychowana w duchu tak rozumianych użyteczności i grzeczności Ewcia także w nastoletnim czy dorosłym życiu – właśnie jako Ewka, Ewa lub babcia Ewa – może mieć różne kłopoty. A to ze zbudowaniem partnerskich i opartych na wzajemnym szacunku relacji z mężczyznami. Ale także z funkcjonowaniem w życiu zawodowym – z niewłaściwymi jej godności czy kompetencjom kontaktami z szefami (także kobietami) czy kolegami i koleżankami w pracy. Obie te sytuacje niosą zaś – prócz szkód dla samej Ewy – także wymierne konsekwencje społeczne w postaci możliwych patologii towarzyskich czy rodzinnych bądź niezdrowych układów społecznych – ze stratami dla pracodawcy włącznie. Podobnie Adam, jeśli zechce, na przykład, zrezygnować z kariery zawodowej na rzecz wychowywania dzieci, może spotkać się z niezrozumieniem otoczenia, nie mówiąc już o kpinach dotyczących, w łagodnej wersji, jego rzekomego zniewieścienia.

W obowiązujących dziś podstawach programowych dla przedszkoli trudno już znaleźć elementy różnicujące ze względu na płeć. W przedszkolnej praktyce jednak gdzieś tam wciąż można spotkać przejawy płciowego różnicowania.

Ewcia i Adaś słuchają, jak pani czyta im wierszyki o rodzicach. Znalazła je w scenariuszach zajęć proponowanych na portalu dla nauczycielek przedszkolnych.

NAJPIERW WIERSZ O MAMIE:

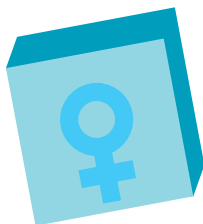
Mama ma dziesięć rąk

Mama ma teraz dziesięć rąk
I wszystkie są nagle zajęte.
Odstawia szafy, ściera kurz,
Rozmawia z każdym sprzętem.

Mama ma teraz dziesięć rąk
I wszystkie są bardzo zmęczone.
Muszę im dodać trochę sił
I wziąć je w swoje dłonie.

Potem wyciągnę zabawki,
Które trzeba naprawić,
Zrobię porządek w szufladzie,
Zanim zacznę się bawić.

I wreszcie tego wierszyka
Wyuczę się na pamięć
I powiem go na dobranoc
Mej uśmiechniętej mamie.



Dla tatusia

My z tatusiem atlas mamy,
łądy, rzeki oglądamy.
I tak sobie rozmawiamy:
o wyprawach przed wiekami,
o korsarzach, co po morzach
dryfowali okrętami,
o lotnikach, co odważnie
szybowali pod chmurami.
Tyle rzeczy tato umie,
więc ciekawość mą rozumie.

Wiem od taty, gdzie Afryka,
tam krokodyl w Nil pomyka.
Łatwiej idzie mi nauka,
Każdy mnie uważnie słucha.
I na szóstkę zasługuję,
Każdą z dumą pokazuję.
Tato bardzo się raduje,
nieraz lody mi funduje.

Kiedy byłem jeszcze mały,
bardzo byłem wciąż nieśmiały.
Tata rzekł: – Już dosyć tego,
czas mężczyzną być, kolego!
Sam mi wszystko pokazuje,
gdy nie umiem, znów próbuję.
Słucham rad, ćwiczę wytrwale
i postępy robię stale.



I JESZCZE JEDEN, TEŻ O TACIE:

Do czego służy tata

Do czego służy tatuś? Na przykład do prania,
Kiedy za dużo pracy miewa w domu mama.

Do trzepania dywanów, jazdy odkurzaczem,
do chodzenia z córeczką na lody, na spacer.

Do wbijania haczyków w twardey beton ściany,
wtedy, gdy nową szafkę lub obraz wieszamy.

Do strugania, gdy złamie się twardey ołówek,
do wkładania do mojej skarbonki złotych.

Do wspinaczki, gdy sobie przed ekranem usiadł.
Do pomagania w lekcjach też miewam tatusia.

A kiedy się gazetą jak tarczą zasłania,
przynoszę kolorową książkę do czytania.

I razem wędrujemy do ostatniej strony.
Do tego służy tatuś dobrze oswojony.



Różne mamy

Mietek mamę ma kucharza,
 Mama lotnik? – też się zdarza.
 Bywa także taka mama,
 Co prowadzi pociąg sama.
 Jedną taką mamę znam,
 Co jest najdzielniejsza z mam.
 Pilot lata samolotem,
 Kucharz częstuje kompotem,
 Nauczyciel uczy w szkole,
 Aktor gra w teatrze role,
 Murarz domy nam buduje,
 Każdy pilnie się zajmuje
 Własną pracą, a nie inną
 I tak właśnie być powinno.
 Wiele różnych mamy mam
 Wszystkie są potrzebne nam.

Okazuje się również, że panie wychowawczynie (zwane niegdyś przedszkolankami) często bezwiednie inaczej traktują dziewczynki niż chłopców. Dotyczy to zarówno preferowanych zabawek czy rodzajów aktywności, jak i formy kierowanych do dzieci komunikatów. Przykładowo: chłopcom pozwalają częściej się wypowiadać, łatwiej jest im zaakceptować fakt, że chłopcy przerywają koleżankom (za to one mają grzecznie czekać na swoją kolej), do chłopców kierują krótkie, rozkazujące zdania, a dziewczynkom wyjaśniają każdą rzecz dłużej i precyzyjniej. Prawidłowość ta dotyczy zresztą nie tylko Polski – podobną zaobserwowano nawet w Szwecji, słynącej przecież od dawna z nacisku na kwestie równouprawnienia.

Trudno się zresztą temu dziwić, skoro podobnie zachowują się mamy i babce. Skądinąd to babce właśnie obok mam najczęściej zajmują się dziećmi, nim te pójdą do przedszkola, a ich wzorce są bardziej konserwatywne. Również tatusiowie – nawet ci, którzy przychodzą po swoje dziecko do przedszkola albo idą z nim na plac zabaw – często rzucają w stronę syna: „Junior, przecież chłopaki nie płaczą!”.

Ewcia też słyszy, że tatuś Adasia – kiedy kolega nie chce, zwykle w poniedziałki, zostać w przedszkolu – rzuca w złości: „Adam, nie histeryzuj jak mała dziewczynka”. A niekiedy nawet wspomina o „mazgającej się starej babie”.

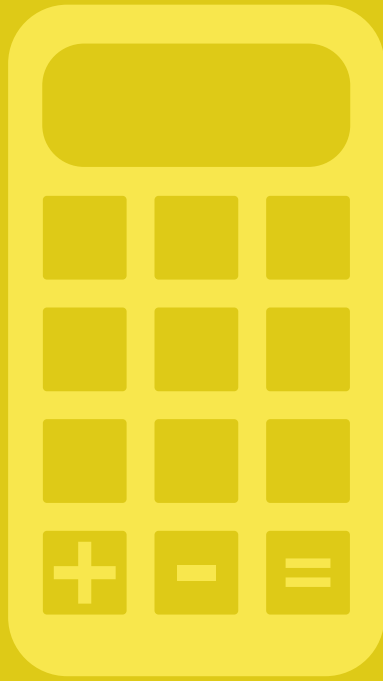
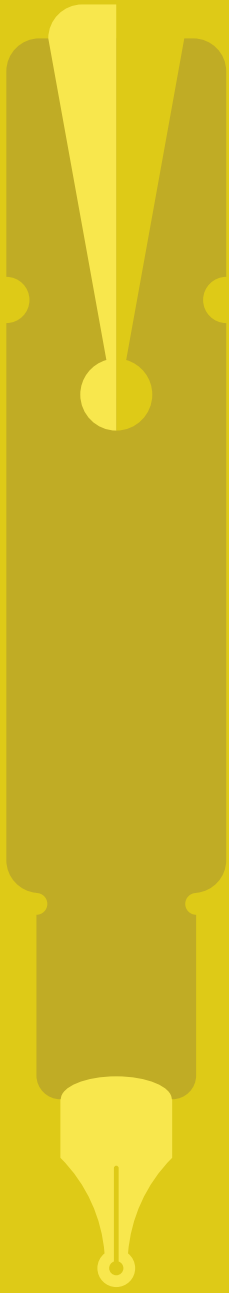
Pewnie silniej niż w przedszkolach stereotypy dotyczące płci można spotkać w skierowanych do Ewci i Adasia reklamach telewizyjnych czy też dziecięcych gazetkach. Reklamy i pisma dla dziewczynek są zwykle utrzymane w różowej bądź niebieskiej kolorystyce, a królują w nich rozmaite księżniczki, wróżki i różne rodzaje postaci *à la* Barbie. Nic dziwnego, że dziewczynki pytane, kim chcą zostać, odpowiadają, że księżniczką.

Tymczasem współczesny świat nie jest światem księżniczek, lecz areną aktywności zawodowej, rywalizacji na rynku pracy, umiejętności przewodzenia i pracy w zespole.

Nie chodzi jednak wcale o narzucanie dzieciom – zarówno dziewczynkom, jak i chłopcom – obcych im ról, lecz tylko o umożliwienie im samym wyboru bez względu na panujące w świecie dorosłych schematy. Rzecz w tym, by Adaś, kiedy w przedszkolu zechce przyłączyć się do „dziewczyńskiej” zabawy, nie poczuł się – w wyniku choćby i podświadomej reakcji pani – słaby czy ośmieszony. I by Ewcia, jeśli zdobędzie się na pewność siebie i śmiało zabierze głos w grupowej dyskusji, spotkała się z pochwałą. W obu przypadkach bowiem służyć to będzie otwarciu się dzieci na nowe doświadczenia i horyzonty.

BIBLIOGRAFIA:

- Anna Brzezińska**, *Materiały Fundacji Rozwoju Dzieci im. A. Komeńskiego*, Warszawa 2002.
- Zbyszko Melosik**, *Reforma edukacji i (re)konstruowanie tożsamości*, w: Elżbieta Putkiewicz, Marta Zahorska (red.), *Monitorowanie reformy edukacji*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa 1999.
- Barbara Weigl**, *Stereotypy i uprzedzenia etniczne u dzieci i młodzieży*, Wydawnictwo Instytutu Psychologii PAN, Warszawa 1999.
- Barbara Weigl**, *Dylematy edukacji wielokulturowej dziecka przedszkolnego*, Fundacja Edukacji Międzykulturowej, <http://www.miedzykulturowa.org.pl/cms/dylematy-edukacji-wielokulturowe.html>.
- Maria J. Zajączkowska**, *Perspektywa równości płci w edukacji i wychowaniu*, w: Kazimierz Denek, Tadeusz Koszyc, Wojciech Wiesner (red.), *Edukacja jutra*, XIV Tatrzańskie Seminarium Naukowe, tom 1, Wydawnictwo Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Wrocław 2008.





2

*Ewka
chodzi do szkoły*

Ewka chodzi już do IV klasy podstawówki. Lubi wiele przedmiotów, ale przyrodę wręcz uwielbia. Nie rozumie jednak za bardzo, dlaczego właśnie w podręczniku do przyrody (pana Błasiaka) znajduje nagle dziwny dowcip: „Przychodzi baba do lekarza. Co pani dolega? – pyta lekarz. – Czuję ogromny nacisk na moją głowę. – Ma pani w swej głowie zbyt niskie ciśnienie wewnętrzne – wyjaśnia lekarz. – Niemożliwe! Ja przecież nie mam nic w głowie! – irytuje się baba”.

Ale także z książek do innych przedmiotów – zarówno z czytanek, jak i z ilustracji – wynika, że dziewczynki są mniej rozzagnięte od chłopaków. To chłopcy zwykle tłumaczą im różne rzeczy. Nawet te najprostsze: w obrazkowej historyjce „Gazetowy kalendarz” dziewczynka pyta kolegę, dlaczego, choć każda z gazet ma swój tytuł, na jedne mówi się „dziennik”, a na inne „tygodnik”. Chłopiec cierpliwie, ale i z gestem świadczącym o poczuciu wyższości, tłumaczy, że niektóre gazety wychodzą codziennie, a inne rzadziej. Wtedy dziewczynka zadaje następne pytanie: „Jak to gazeta wychodzi? Dokąd?”. Kolega z jeszcze skrywanym politowaniem wyjaśnia, że „tak się tylko mówi”. Ale kiedy dostaje od dziewczyny kolejne pytanie o to, czy gazety wychodzące co trzy tygodnie to trzytygodniki, odpowiada z wyraźną już irytacją pomieszaną z rozbawieniem, że on o trzytygodnikach nie słyszał.

Jednocześnie w ostatnim międzynarodowym badaniu PISA, mierzącym umiejętności piętnastolatków, wykazano, że polskie dziewczęta są lepsze w czytaniu i interpretacji różnych tekstów od chłopców oraz że nie ma istotnych statystycznie różnic między płciami w umiejętnościach matematycznych czy w naukach przyrodniczych.

Ewka zastanawia się, dlaczego w podręczniku inne zadania kierowane są do niej, a inne do Adasia. Ona ma, na przykład, zastanowić się, co powinna zrobić Jola, która jest łakomczuchem i postanowiła się odchudzić, ale właśnie znalazła w lodówce tabliczkę czekolady z bakaliami. Adaś ma natomiast udzielić rady Wojtkowi, który jest miłośnikiem gier komputerowych, ale akurat nie gra, bo postanowił poprawić słabe oceny z polskiego. Tyle że właśnie zadzwonił kolega z zaproszeniem i informacją o nowej grze...

Dlaczego to podręcznikowi chłopcy, a nie dziewczyny, mają różne fajne pomysły? Kiedy przedstawiane są sytuacje z życia szkoły i samych uczniów, zwykle chłopcy okazują się aktywni. Dziewczynki są najczęściej grzeczne, pilne i obowiązkowe, raczej nie zabierają głosu – najwyżej przytakują nauczycielowi.

Podobnie bywa, gdy opowieść dotyczy rodziny. Z reguły jest to rodzina złożona z mamy, taty i dzieci. Tymczasem niektórych z kolegów i koleżanek Ewy wychowuje tylko jedno z rodziców, bo albo się rozwiedli, albo któregoś zmarło, jest na emigracji itd. Ale w podręczniku *W rodzinie, w Polsce*,

w *Europie* czyta, że „każda rodzina sięga głęboko w przeszłość. (...) każdy ojciec miał ojca, a ten znów ojca, i tak dalej”. A co z babciami i prababciami w rodzinie? Jeśli już w podręcznikowych relacjach pojawiają się kobiety, to w rolach matek i gospodyń domowych, które dbają, by w domu było czysto, ubrania dla wszystkich zostały wyprane i wyprasowane, a na stole stał ugotowany na czas obiad. Mamy rzadko pokazywane są poza domem, tak jakby w ogóle nie pracowały zawodowo. Jeśli występują poza nim – na spacerze, w kinie czy na basenie – to nie same, lecz w towarzystwie całej rodziny.

Co innego tata. To on wykonuje te rzeczywiście znaczące zajęcia domowe, a przede wszystkim – pracuje w poważnych zawodach. Rzadko przedstawiany jest w sytuacji troskliwego opiekuna dopiero co narodzonego braciszka bądź chorej córki. Częściej widzimy ojca grającego z większym już synem w szachy, tłumaczącego mu coś przed komputerem bądź przewodzącego wyprawie rowerowej czy żeglarskiej. Jeśli już sprząta lub gotuje w domu, to przy wyjątkowych okazjach – w Wigilię albo w Dzień Matki.

W podręcznikach do historii rzadko kiedy Ewka – także wtedy, gdy uczy się już w gimnazjum, a potem liceum – może znaleźć informacje o słynnych kobietach, które odegrały ważną rolę w świecie.



W podstawówce przeczytała książkę z ciekawymi opowieściami porównującymi życie dawniej i dziś. Cóż, kiedy na dwadzieścia opowiadań dziewczynki wystąpiły w zaledwie dwóch i to w tych, które dotyczyły odległych czasów. Wyglądało na to, że od czasów starożytnego Egiptu do teraz znaczenie mieli jedynie chłopcy.

W gimnazjum w serii książek *Historia Polski* Ewa mogła przeczytać notki o czterech władczyniach (Jadwiga Andegaweńska, Elżbieta z Habsburgów, Bona Sforza, Maria Kazimiera) i o jednej uczonej (Maria Skłodowska-Curie) oraz obejrzeć wizerunki siedmiu kobiet (Anna Jagiellonka, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Róża Luksemburg, Wanda Wasilewska, Hanna Suchocka, Wisława Szymborska) – tyle że już bez informacji o tym, czym się zasłużyły. Niewiele dowiedziała się również o życiu zwykłych kobiet – w podręczniku były tylko wzmianki o stosunkach rodzinnych w starożytnej Grecji i Rzymie oraz w czasach średniowiecza. Potem o kobietach było dopiero w związku z I wojną światową i ruchami równościowymi lat 60. XX wieku. Natomiast równouprawnienie w powojennej Polsce opisane jest jako „jedno z haseł propagandowych socjalizmu” – a przecież, jak wiadomo, hasła propagandowe to nic dobrego.

Krótko mówiąc: kobiety w szkolnej nauce historii to „rodzynki” w męskim cieście. Nie ma historii kobiet, sufrażystek, feministek, zmieniających się kobiecych i męskich ról społecznych.

Nie lepiej będzie w liceum – Ewka w podręczniku historii może wtedy, przykładowo, przeczytać, że dążenia równościowe pojawiające się na Zachodzie w drugiej połowie XX wieku doprowadziły do zepsucia obyczajów.

Tak samo jest w książkach do wiedzy o społeczeństwie. Ewka łatwo może trafić na taką, w której nie będzie słowa o roli, jaką we współczesnej polityce międzynarodowej, organizacjach ponadnarodowych i gospodarce odgrywają kobiety. Dziwi się, bo przecież wie, że obecnie udział kobiet w polityce i biznesie stale rośnie. Z innych źródeł musi więc poznawać biografie **nawet** najsłynniejszych i najwybitniejszych kobiet współczesnego świata.

Nawet wedle książki mającej uczyć przedsiębiorczości to mężczyźni rządzą gospodarką, a do kobiet należą najwyżej podrzędne funkcje biurowe, chociaż w Polsce jest więcej kobiet przedsiębiorczyń niż średnio w Unii Europejskiej.

Szokujące dla Ewki i jej gimnazjalnych, a zwłaszcza licealnych, koleżanek są też **podręczniki** do przedmiotu „wychowanie do życia w rodzinie”. Bo albo **porady dotyczące** rozpoczynania życia seksualnego (odnoszące się do komfortu miejsca, nastroju, techniki itp.) formułowane są z punktu widzenia chłopaka, a nie dziewczyny (tak jakby dziewczyna była tylko przedmiotem, nie miała żadnych uczuć, potrzeb i oczekiwań), albo przeciwnie: seksualność

traktowana jest jako coś drugorzędnego i mało ważnego w porównaniu do zasadniczego – zdaniem autorów – zadania rodziny, czyli wychowania potomstwa. Sama rodzina i tu przedstawiana jest zresztą wedle tradycyjnych schematów: jest pełna, nie ma mowy o rodzinach rozwiedzionych czy matkach od początku samotnie wychowujących dzieci, które wszyscy nazywają pannami z dzieckiem. W podręcznikowych rodzinach to mężczyzna zajmuje się pracą zawodową, a kobieta – domem i dziećmi. Tak ofiarnie poświęca się dla innych, ponieważ nie ma specjalnych ambicji zawodowych, przyjmuje rzeczywistość pokornie i biernie.

Ewka z koleżankami – choć przecież też marzą o wielkiej miłości i wspaniałych chłopakach – zaśmiewają się, czytając taki opis uczuć rodzinnych w podręczniku *Wychowanie do życia w rodzinie* pani Ryś: „Różnice pomiędzy przeżywaniem miłości przez kobietę i mężczyznę trafnie ujmuje problem Oli: Kiedy Bogdan wędruje do pracy, cały dzień o nim myślę. Sprzątam, ustawiam kwiaty – uśmiecham się do niego, patrzę jakby jego oczami – spodoba mu się czy nie. Gdy kupię nowe firanki, z drzeniem serca czekam, czy je zauważy. Kiedyś, kiedy bardzo tęskniłam za nim, zapytałam, czy myślał o mnie w pracy. Przytulił mnie i powiedział – prawdę mówiąc – nie! Nie miałem na to czasu. I gdyby nie jego ciepłe oczy, uśmiech, w tejsze chwili zwątpiłabym, czy mój mąż mnie kocha”.

Dziewczyny trochę poważnieją, gdy zaczynają czytać fragmenty o nieplanowanych ciążach. Okazuje się, że autorzy jednego z podręczników radzą, żeby w takim przypadku „dziewczyna próbowała zrozumieć powody, dla których on nie chce jej poślubić”. Chłopak może być przecież „jeszcze niedojrzały” – mężczyźni bowiem potrafią przejąć odpowiedzialność za żonę i dziecko „dopiero w pewnym wieku”.

Dziewczyny zdają sobie sprawę, że i tak mają szczęście. Jeszcze parę lat temu uczennica w ciąży była zwykle wydalana ze szkoły i nie mogła nawet skończyć klasy. Dziś nikt też już chyba nie wróci do pomysłu jednego z poprzednich ministrów oświaty, który chciał nakazać dyrekcjom szkół prowadzenie statystyk uczennic w ciąży – z wyraźnie represyjnym podtekstem wymierzonym zarówno w dziewczęta, jak i szkoły, do których one chodziły.

Ale Ewka i koleżanki znowu wybuchają śmiechem, gdy w innej książce, która ma się zająć ich „przygotowaniem do życia w rodzinie”, czytają o sobie, że są „źródłem zapieczętowanym”. Z wywodu wynika, że wartością, którą powinny cenić w sobie nade wszystko, jest dziewictwo – wykluczone są seks przed ślubem czy tworzenie związku nieformalnego. Tymczasem tematami dziewczyńskich rozmów są już pierwsze miesiączki i wizyty u ginekologa. Niektóre koleżanki mówią, że nie było to takie straszne; inne zaprzeczają

i opowiadają, jakim chamem okazał się doktor, do którego trafiły. I że nigdy już do żadnego lekarza mężczyzny nie pójda.

Nie znajdują jednak w swoich książkach wzmianki o tym, jak bronić się chociażby przed nagabywaniem seksualnym: ordynarnymi dowcipami, obmacywaniem, o próbach gwałtu nie mówiąc.



fakt

Anna Wołosik, pedagog, autorka podręczników szkolnych, ale też analizy ich zawartości, zauważa, że w polskiej szkole podręcznik jest najważniejszym i stale używanym narzędziem dydaktycznym. To jego układ przesądza często o tym, co staje się tematem lekcji, treść zaś przyjmowana jest zwykle – zarówno przez uczniów, jak i rodziców czy nauczycieli – z dużym zaufaniem, jeśli nie bezkrytycznie.

korzyść

„Jeśli podręcznik zawiera szkodliwe sformułowania, powieła stereotypy i uprzedzenia, to siła ich rażenia jest wielka i długotrwała” – ostrzeża.

Tymczasem wedle przekazu serwowanego przez wiele podręczników dziewczynki rzadziej niż chłopcy wykazują inicjatywę, nie mają odwagi podejmowania z nimi dyskusji i wypowiedzania własnych sądów (ba, niekiedy po prostu dużo mniej wiedzą i nie są tak bystre jak koledzy). W efekcie utrwała się obraz dziewczynki (generalnie zaś – kobiety) jako osoby potulnej, niekiedy wręcz mało rozgarniętej (symbolizowanej przez bohaterki żartów o babie przychodzącej do lekarza czy też o słodkich blondynkach), zdominowanej przez mężczyzn.

Na dodatek tego rodzaju przeciwstawienia skutkują pogłębianiem rozdzwieńców na tle znaczenia płci między chłopcami a dziewczętami (a potem znowu: mężczyznami i kobietami).



Co może najważniejsze, podręcznik powielający obraz wycofanych i podlegających chłopięcej (męskiej) supremacji dziewczynek (i kobiet) pogarsza samoocenę tych ostatnich: tracą wiarę w siebie, w swoje możliwości i szanse. Taki model sprzyja pasywności. Promuje brak ambicji. Może to wywierać skutki zarówno podczas pobytu w szkole, jak i później – w relacjach prywatnych: osobistych i rodzinnych oraz zawodowych (w stosunkach w pracy). Szkody ponoszą przy tym nie tylko wychowane w takim duchu kobiety, lecz także ich najbliżsi, a nawet pracodawcy (czyli pośrednio wszyscy) – pracownik z niską samooceną jest mało efektywny, o kreatywności nie wspominając.

Poza tym szkoła – m.in. poprzez treści podręczników – winna przekazywać i promować wśród młodych ludzi uznane w dzisiejszym demokratycznym świecie wartości, związane choćby z prawami człowieka. Są wśród nich także równość, tolerancja, otwartość. Bez ich przyswojenia trudno obecnie na poważnie funkcjonować w życiu publicznym (w roli polityka, działacza społecznego, dziennikarza itd.). Jeśli szkoła lekceważy tę zależność, jej wychowankowie będą mieć kłopoty z pełnieniem tych funkcji, a więc także z robieniem wymarzonych karier. I to niezależnie od tego, czy będzie chodzić o poziom społeczności lokalnej, czy państwa, nie mówiąc już o rozmaitych organizacjach międzynarodowych. A szkody ponoszą wtedy przecież wszyscy.

Z kolei mocno tradycjonalistyczny duch niektórych podręczników oraz szkolnej praktyki przyczynia się do utrwalania negatywnych skutków kulturowego, obyczajowego, a nawet politycznego status quo. Chodzi m.in. o podkreślanie hierarchicznego układu płci (z męską dominacją) oraz ściśle określonych (znowu: wedle kryterium płci) i praktycznie nienaruszalnych ról społecznych. Na dodatek dotyczy to zarówno życia prywatnego, jak i społecznego.

Nie bez znaczenia jest i to, że tego rodzaju podejście w podtekście zniechęca do jakichkolwiek prób wpływania na rzeczywistość – nawet na jej wyraźnie szkodliwe czy patologiczne aspekty.

Jak ostrzega Anna Wołosik, „można odnieść wrażenie, że autorzy podręczników za najważniejsze uważają, aby młodzi ludzie zaadaptowali się do zastanych warunków życia, kształtowali u siebie określone cechy i sięgali po uświęcone tradycją nienaruszalne wzory osobowe, a nie uzyskali autonomię, wewnętrzną niezależność i gotowość do krytyki i zmiany społecznej”.

I wreszcie bez wyeliminowania z serwowanych uczniom treści zachowawczych, by nie rzec – prostackich, przeciwstawień obu płci, pogłębiać się będą jedynie konflikty na tym tle.

A przecież nauczycielki Ewki mogą sięgnąć chociażby po broszurę omawiającą projekt „Jej portret”, która zawiera propozycje scenariuszy lekcji z historii, literatury i edukacji obywatelskiej doceniające rolę kobiet.

Albo przynajmniej mogą przejrzeć książkę *Równa szkoła – edukacja wolna od dyskryminacji. Poradnik dla nauczycielek i nauczycieli* dr Ewy Majewskiej i Ewy Rutkowskiej. Kosztuje ledwie 20 złotych, można ją też pobrać za darmo z internetu.



Kiedy Ewka oraz jej koleżanki i koledzy mieli wybrać profil klasy w wymarzonego liceum, niektórzy nauczyciele zaczęli im podpowiadać, że dla dziewczyn lepsze będą klasy o profilu ogólnym, humanistycznym lub biologicznym, a chłopcy powinni starać się dostać do klas z profilem ścisłym: matematycznym czy informatycznym.

Podobne sugestie mogli znaleźć – wyrażone w zależności od tytułu mniej lub bardziej wprost – już w podręcznikach. Zresztą także na niektórych lekcjach mogli odczuć, do czego – zdaniem nauczycieli – bardziej nadają się dziewczęta, a do czego chłopcy. Owszem, na zajęciach technicznych dziewczętom nie zlecano już – jak ich mamom – szycia ściąganiem prostym czy robienia sałatek, a chłopakom – wykonania metalowego świecznika. Ale choćby na lekcjach informatyki Adaś mógł częściej niż Ewka zasiąść przed ekranem i klawiaturą, by poćwiczyć pracę z komputerem.

Dziewczyny wprawdzie czasem cieszyły się, że pan od matematyki, który od chłopców wymagał wiedzy niemal na poziomie ponadlicealnym i nie bez powodu uchodził wśród nich za surową „piłę”, traktuje je dużo łagodniej. Ale taka Ola, która była świetna z „matmy” i „fizy”, wcale nie była zadowolona. Już w gimnazjum opowiadała, że po liceum chce studiować fizykę na uniwersytecie, a tymczasem nie ma żadnych motywacji, by wykazywać się na lekcjach, bo nauczyciel ją lekceważy.



W liceach ogólnokształcących uczy się o blisko 1/3 więcej dziewcząt niż chłopców, którzy przeważają za to w średnich szkołach zawodowych. Tyle że w ogólniakach wyraźnie sfeminizowane są klasy językowe i (szeroko rozumiane) humanistyczne, podczas gdy matematyczno-fizyczne i biologiczno-chemiczne są raczej zdominowane przez chłopców.

Prawdopodobnie nie jest to tylko efekt naturalnych predyspozycji i wyborów, ale także podświadomej sugestii wywoływanej przez nauczycieli, autorów programów szkolnych oraz cały system edukacji (choć oczywiście także przez rodziców i... rówieśników).

Nie dość jednak, że tego rodzaju szufladkowanie zainteresowań uczniów wedle kryterium płci prowadzi często do tłumienia talentów wielu z nich, niewykorzystywania predyspozycji i ograniczania wolności wyboru drogi życiowej. Skutkiem są też nietrafione decyzje dotyczące kierunku dalszego kształcenia i drogi zawodowej. Do frustracji samych ofiar takiego systemu (prócz spadku samooceny dochodzi stres związany ze zmarnowaną w szkole i nielubianej pracy młodością) dochodzą wymierne straty dla społeczeństwa: zbędne wydatki na chybiony kierunek edukacji, koszty nieefektywnej siłą rzeczy pracy, czasem konieczność przekwalifikowania itd.

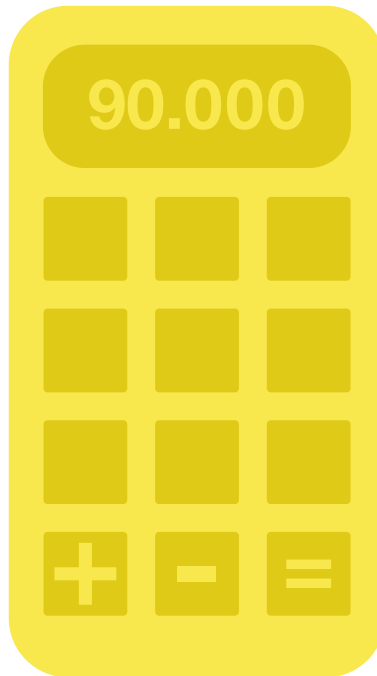




Ewka i jej klasa widzą, że 80 proc. uczących w ich szkole (taka jest zresztą średnia proporcja w polskich szkołach) to kobiety. Całością zarządza jednak mężczyzna, bo to on jest dyrektorem (znowu zgodnie ze statystyczną prawidłowością). W ten sposób zaczynają przyzwyczajać się do częstego w wielu profesjach układu zależności: zbiorowością kobiet (słabo zresztą wynagradzanych, o czym słyhać i w telewizji, i w pokoju nauczycielskim, a czasem też w klasie od niepotrafiących powstrzymać złości i rozgoryczenia nauczycielek) kieruje sprawny (w domyśle przynajmniej) mężczyzna – menedżer.

Dziewczyny najbardziej zdumiewa jednak to, że wiele nauczycielek w szkolnej praktyce powiela ten schemat: od uczennic oczekują, by były miłe i zadbane, a chłopcom łatwiej wybaczą niebanalne zachowania, ba, tolerują nawet wśród nich tzw. silne indywidualności.

Zdaniem psychologów to kolejny przejaw stygmatyzacji i schematyzacji. Wszak to mężczyźni uchodzą za urodzonych przywódców...





Ewka, jak większość jej koleżanek, wybrała w liceum klasę humanistyczną. Ale może nie jest to do końca zła decyzja? Przecież wiele kobiet zasłynęło jako pisarki, filozofki czy reżyserki.

A jej prezentacja maturalna zostaje świetnie oceniona. Choć temat ma niesztampowy i niejako wbrew szkolnej tendencji: rola i sylwetki wybitnych kobiet w polskiej historii. Uznanie zdobywa choćby oparcie jej na poważnych, a mało znanych, książkach. Bo prócz *Marty* Elizy Orzeszkowej Ewa posiłkowała się klasycznym już esejem *Kobiety i duch inności* Marii Janion, ambitnymi analizami kulturoznawczymi Agnieszki Graff: *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym* oraz *Rykoszetem: Rzecz o płci, seksualności i narodzie* czy, nominowaną do Nagrody Nike, pracą *Damy, rycerze i feministki. Kobięcy dyskurs emancypacyjny w Polsce* Sławomiry Walczewskiej. Powołała się też na słynny film Katji von Garnier *Niezlomne* o początkach walki kobiet o równouprawnienie na Zachodzie.

I dowiodła swego.

P O M O C E D Y D A K T Y C Z N E :

Magdalena Górowska-Fells, *Edukacja zróżnicowana ze względu na płeć*, Polskie Biuro Eurydice & Fundacja RSE, Warszawa 2007.

Małgorzata Jonczy-Adamska, *Jej portret. Propozycje scenariuszy lekcji z historii, literatury i edukacji obywatelskiej*, <http://www.wstronedziewczat.org.pl/downloads/wpro.pdf>.

Ewa Majewska, Ewa Rutkowska, *Równa szkoła – edukacja wolna od dyskryminacji*.

Poradnik dla nauczycielek i nauczycieli, Gliwice 2007,

lub: http://www.bezuprzedzen.org/doc/rowna_szkola_edu_wolna_od_dyskryminacji.pdf,

Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów OECD PISA. Wyniki badania 2009 w Polsce; dane Eurostatu: <http://epp.eurostat.ec.europa.eu>.

Anna Wołosik, *Edukacja do równości czy trening uległości? Czy polskie podręczniki respektują zasadę równości płci?*, http://www.wstronedziewczat.org.pl/downloads/ania_genderfair.pdf.

Maria J. Zajączkowska, *Perspektywa równości płci w edukacji i wychowaniu*, w: Kazimierz Denek, Tadeusz Koszczyk, Wojciech Wiesner (red.), *Edukacja jutra*, XIV Tatrzańskie Seminarium Naukowe, tom 1, Wydawnictwo Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Wrocław 2008.





3

*Ewa idzie
na studia*

Ewa ma dziewiętnaście lat. W Wielkim Mieście rozpoczyna studia, na które dostała się za pierwszym podejściem, z wysoką lokatą. Rodzina nie kryła dumy, że ze średnio urodziwego kujona, który od lat siedział albo w bibliotece, albo w szkole, starannie unikając zbyt ekspansywnego demonstrowania swojej kobiecości, najprawdopodobniej wychodzi na ludzi.

Babcia Frania powtarzała jednak uparcie: „Na co dziewczynie studia? Wyjdzie za męża, urodzi dzieci – do czego tu potrzebny dyplom? Na wszelki wypadek kupcie jej maszynę do szycia. To się kobiecie zawsze przyda...”. Wiedziała, co mówi. Gdyby po wojnie zabrakło w jej domu maszyny do szycia, nie byłoby jak dorobić do górniczej pensji męża.

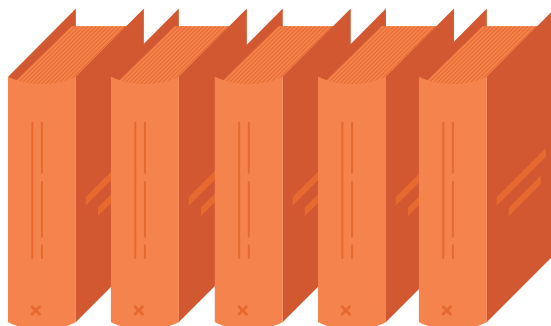
Sąsiadki właściwie zazdrościły kariery: „No to teraz Ewunia wyjedzie do Wielkiego Miasta, tytuł zrobi”, ale kierunek studiów ich nie przekonywał. Bo po co jechać aż dwieście kilometrów z domu, żeby studiować jakieś nauki polityczne? Nie lepiej, jak już trzeba studiować, zabrać się za coś bardziej konkretnego, a potem zostać lekarzem, inżynierem, nauczycielką chociaż? Co można robić po naukach politycznych?

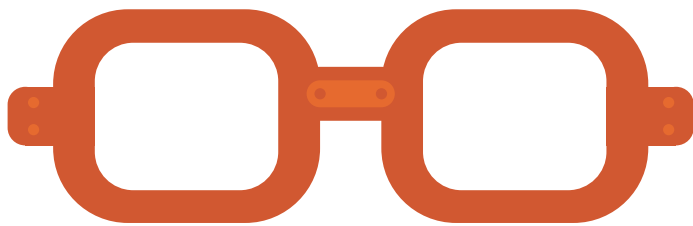
Mama, choć też chyba nie wiedziała, po co studiuje się nauki polityczne, powtarzała jednak uparcie, że Ewa wie, co robi. Z piątki jej dzieci o nią martwi się najmniej i, na ile potrafi, na pewno jej pomoże. Ewa słyszała w tych maminych zapewnieniach więcej niż sąsiadki – cichy żal kobiety, która naukę skończyła na szkole podstawowej, bo jej rodzice potrzebowali rąk do pracy w kilkuhektarowym gospodarstwie.

Ojciec, gdy chwalił się przed znajomymi, wydawał się zadowolony, ale przed Ewą lekceważył jej sukces. „To będą studia z marksizmu i leninizmu” – mówił, bo nauki polityczne miały prawo wówczas kojarzyć się z kierunkiem „dyspozycyjnym politycznie”...

Jaka jest renomowana uczelnia z Wielkiego Miasta, Ewa sprawdziła osobiście: jeszcze przed maturą za zaoszczędzone pieniądze pojechała na uniwersytet, by odwiedzić kilku wykładowców podczas ich dyżurów dla studentów. Pytała nie tylko o program, zajęcia i możliwości wykorzystania wykształcenia po studiach.

– Przepraszam, że w ogóle o to pytam... – zaczęła więcej niż nieśmiało pierwszą rozmowę z wykładowczynią teorii polityki i już miała ochotę zjeść własny język. „Przecież wiem, że mam prawo pytać, więc dlaczego zacznym





rozmowę tak, jakbym chciała przeprosić rozmówcę, że w ogóle istnieję!” – upominała siebie w duchu. Jak dobrze znała ten stan z lekcji w szkole: niby wie, przeczytała, co trzeba, przygotowała się, to ona powinna nadawać ton dyskusjom i zbierać laury za świetnie przygotowaną pracę. Tyle że ni stąd, ni zowąd z zaciśniętego gardła wydobywało się: „to nie jest jeszcze takie, jak powinno być...”, „na pewno trzeba nad tym jeszcze popracować” albo: „przepraszam, ale myślę inaczej...”.

„A za co tu, dziewczyno, przepraszać?” – Ewa usłyszała głos profesorki, pytający tak, jakby miała podsłuch na rozterki wewnętrzne Ewy. „Masz prawo pytać. Poza tym to bardzo dobrze o tobie świadczy, że masz ochotę bliżej poznać kierunek, któremu zamierzasz poświęcić najbliższych pięć lat swojego życia”.

Uff... Ewa aż przełknęła ślinę z wrażenia. Chyba nikt do tej pory tak do niej nie mówił. Niby w liceum wszyscy szli na studia – taka moda teraz – ale te dowcipy i żarciki niektórych nauczycieli: „Nie idź na filologię, bo męża nie znajdziesz!”, „Dziewczyna na politechnikę? Ależ ty sobie nie poradzisz – to za trudne dla kobiet” i bardziej „równościowy”: „Chłopcy idą na studia, by uniknąć wojska, a dziewczyny, by znaleźć męża”. Bywali i tacy, szczególnie wśród sąsiadów na wsi, którzy lubili się zastanawiać, jak też studentki utrzymują się w tym Wielkim Mieście, życie takie drogie... Ewa dostawała gęziej skórki na wspomnienie wszystkich upokorzeń i złościwostek.

Profesorka od teorii polityki była bardzo konkretna: krok po kroku rozwiewała jej wątpliwości, które kręciły się właściwie wokół jednego pytania: czy „szara mysz” z prowincji, za jaką siebie uważała, która nie ma dostępu do wielu książek i niezbyt wprawnie posługuje się dwoma językami obcymi, będzie miała cokolwiek do roboty na takich studiach?

„Jeśli będziesz pracowita i wytrwała, nadrobisz wszystkie zaległości, a nawet zostawisz daleko w tyle tych, od których czujesz się teraz gorsza” – usłyszała. „Wykształcenie to dla kobiety rzecz priorytetowa, więc zamiast dzielić włos na czworo, bierz się do roboty: zdaj maturę, a potem – na studia”.

Reszta wykładowców mówiła podobnie, tylko jeden z profesorów zaczął się na głos zastanawiać, czy naprawdę kobiety muszą się „katować” studiami...

Przypomniało jej to matematyczkę, która pisząc na tablicy zadanie, pytała: „Ciekawe, czy któraś z dziewcząt sobie z tym poradzi?”. Nigdy nie była pewna, czy pani od matematyki pyta z nadzieją, czy z przekąsem...

Po rozpoczęciu roku akademickiego Ewa zapisała się na wszystkie otwarte kursy, szukała nawet ciekawych przedmiotów na innych kierunkach. Jak dla niej atrakcje Wielkiego Miasta mogły nie istnieć – wystarczyły jej sale wykładowe i biblioteka.

„A co ty tak, Ewa, kujesz?” – usłyszała od kolegi, gdy zapytała, czy rozumie teorię predestynacji u św. Augustyna. „Nie rozumiem i nie mam zamiaru zrozumieć. Poszedłem na nauki polityczne, by na drugim roku poprosić o możliwość rozpoczęcia studiów na drugim kierunku. Moim celem jest prawo”.

Ewa nie bardzo wiedziała, dlaczego chęć studiowania prawa wyklucza możliwość zrozumienia filozofii św. Augustyna, ale ostatnie zdanie kolegi było jak uderzenie obuchem w głowę: „Nauki polityczne mogą studiować kobiety, bo was będzie miał później kto utrzymywać”.

Ewa nie brała takiej możliwości pod uwagę. Liczyła na to, że „niepraktyczne nauki polityczne” jednak pozwolą zdobyć dobry zawód i zarobić na życie. Pomyślała też złośliwie, że zapobiegliwy kolega, jeśli chodzi o znalezienie źródeł dochodów dla kobiet po studiach, jednej opcji nie wziął pod uwagę – maszyny do szycia babci Franciszki. W przypadku kłopotów zawsze może zarabiać na życie jako szwaczka...

„Facetom takie rozwiązanie nigdy by do głowy nie przyszło” – pomyślała, obiecując sobie, że w bibliotece zajrzy nie tylko do *Wyznań* św. Augustyna, ale jeszcze do pewnego tekstu. Jaki on miał tytuł? Już wie! *Koniec świata mężczyzn*.



W eseju amerykańskiej dziennikarki Hanny Rosin Ewa przeczytała o zmierzchu świata, który jeszcze niedawno wydawał się jedynie możliwy: gdzie studiuje większa liczba mężczyzn niż kobiet, gdzie mężczyźni, a nie kobiety, obejmują stanowiska kierownicze i, co z tym związane, korzystają z władzy, cieszą się prestiżem oraz większymi dochodami.

Oto jak eseistka widzi przyszłość amerykańskiego społeczeństwa, w którym to kobiety coraz bardziej wychodzą na prowadzenie:

„Po raz pierwszy [w 2010 roku] w grupie Amerykanów w wieku od 30 do 44 lat jest więcej kobiet niż mężczyzn z dyplomem college’u.

To powoduje, że tradycyjna rodzina z przedmieścia zmienia się gwałtownie. W 1970 roku kobiety dostarczały od 2 do 6 proc. rodzinnego dochodu.

Teraz typowa pracująca żona przynosi do domu 42,2 proc., a cztery na dziesięć matek – wiele z nich samotnych – to główne żywicielki swoich rodzin”.

KORZYŚĆ

Rosnące dochody kobiet z jednej strony podwyższają status społeczny rodziny, z drugiej: wykształcone i dobrze zarabiające kobiety, jeśli nie potrafią znaleźć równego im partnera, nie zakładają rodziny, ewentualnie decydują się na samotne macierzyństwo.

„W 1970 roku 84 proc. kobiet w wieku od 30 do 44 lat było zamężnych; dzisiaj tylko 60 proc. W 2007 roku wśród Amerykanek, które nie ukończyły szkoły średniej, mężatkami było 43 proc.” – pisze Rosin.

W Polsce zmiany tej miary to wciąż melodia przyszłości, choć prawdopodobnie niezbyt odległej. W latach 1990–2007 liczba studentek wzrosła pięciokrotnie, studentów – czterokrotnie. Polska nie ma się czego wstydzić także w porównaniu z innymi krajami Europy Środkowo-Wschodniej: w 2001 roku odsetek kobiet wśród absolwentów polskich szkół wyższych wyniósł 65,9 proc. i przekroczył o prawie 3 proc. wyliczoną dla regionu średnią.

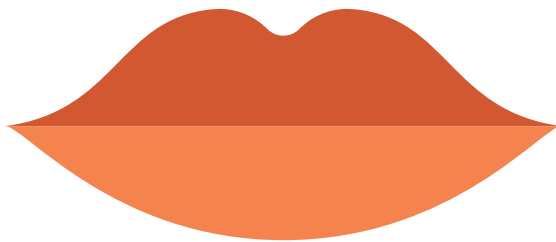
Ewa – humanistka – nie musiała tłumaczyć swojej obecności na studiach, ale już jej koleżanka Agata, która rozpoczęła studia medyczne, dowiedziała się od jednego z adiunktów, że lekarka to może być co najwyżej internistką, pediatrą albo okulistką, ale już na pewno nie chirurgiem czy kardiochirurgiem. To męskie specjalizacje: wymagają lat studiów i wyrzeczeń, odporności psychicznej i czysto fizycznej kondycji, by wytrzymać kilkanaście godzin na nogach przy stole operacyjnym.

„Nie będzie czasu na rodzenie dzieci» – tak mówił, dasz wiarę?” – opowiadała przygnębiona Agata. „A czy ludzie rozmnażają się jak mszyce, przez dzieworództwo? Bo chłopaków jakoś nie ostrzegał, że nie będą mieli czasu na posiadanie i wychowywanie dzieci. Mówię ci, skończę jako pani doktor w wiejskiej przychodni, bo nigdzie indziej nie będzie dla mnie miejsca. Wszyscy będą się bali, że jak zrobię specjalizację albo awansuję, to nie urodzę dziecka. Boże, czy ja się macica nazywam?!”

„Nie nazywasz” – zapewniła Ewa. „Zostaniesz po prostu młodą lekarką na gumnie, »o dużym stażu i małym apanażu«. Chyba słuchałaś kiedyś *Z pamiętnika młodej lekarki?*”

Kiedy Ewa zaczęła przeszukiwać swoją torbę, Agata pomyślała, że „solidarność jajników” to jednak gruba przesada... Skecze Ewy Szumańskiej o czasami mądrej, a czasami głupiutkiej młodej lekarce były zabawne, jej jednak nie było do śmiechu.

„Masz – przeczytaj sobie” – Ewa podała Agacie książkę *Cud w medycynie*. „Przeczytaj opowieść prof. Marii Siemionow, która jako pierwsza na świecie przeszczepiła z powodzeniem 80 proc. skóry twarzy. Operację wykonała na



kobiecie, która była ofiarą przemocy domowej. Prof. Siemionow to wymyśliła, a operację przeprowadziła, nadzorując dwa zespoły lekarzy i będąc na nogach bez przerwy przez 22 godziny. Aha, dziecko też urodziła, zostało naukowcem. Może daj to do przeczytania temu adiunktowi?”

A gdyby Agata chciała studiować na kierunkach wojskowych albo technicznych? Formalnie nie powinno być przeszkód. To nie lata 40. czy 50., kiedy Danuta Kobylińska-Walas, pierwsza Polka z tytułem marynarza i kapitana (uzyskanym w 1963 roku), musiała czekać kilka lat na możliwość nauki w szkole morskiej i następnych parę, by otrzymać prawo pływania na otwartym morzu.

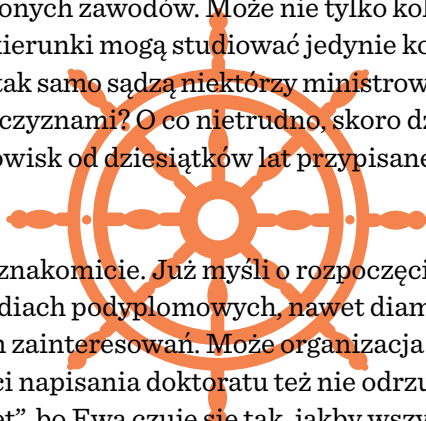
Dzisiaj, jeśli istnieją przeszkody utrudniające kobietom studiowanie na uczelniach wojskowych bądź technicznych, to nie tyle w prawie czy uczelnianych zwyczajach, ile w głowach, także samych kobiet. Jeśli od dziecka, nawet bezwiednie, wkłada się ludziom do głowy, „jakie powinny być kobiety” i „jacy są mężczyźni”, to nie wszyscy znajdą w sobie dość samozaparcia, by pójść pod prąd społecznych oczekiwań i stereotypów.

W efekcie dziewczyny, nawet posiadając ponadprzeciętne uzdolnienia matematyczne, zamiast na inżyniera, kształcą się na księgową. A zorganizowana po raz pierwszy w 2008 roku akcja „Dziewczyny na politechniki” zapewne jeszcze długo każe czekać kierunkom technicznym na odmaskulinizowanie. Dla równowagi, ponieważ najbardziej sfeminizowane pozostają kierunki pedagogiczne i humanistyczne, przydałaby się na przykład akcja „Chłopcy na pedagogikę”.

Jednak z punktu widzenia skutków społecznych sytuacją najbardziej pożądaną byłoby ustanowienie swoistego „parytetu płciowego” na kierunkach uczelni, a w efekcie – w poszczególnych profesjach. Ani mężczyzna, na przykład opiekun w przedszkolu czy pielęgniarz, ani kobieta, choćby obsługująca pancernik czy dowodząca międzynarodową korporacją finansową, nie będą wówczas budzić sensacji. Co równie ważne: każda z płci wniesie do wykonywanych zawodów cechy kulturowo sobie przynależne. Pojawi się więc realna szansa na zlikwidowanie zarówno nimbu zawodu dla „prawdziwego faceta”, gdzie męskość jest utożsamiana z przemocą i rywalizacją, jak i odium „zawodu sfeminizowanego”, czyli tak naprawdę lekceważonego, bo mniej płatnego.

Ewa „przerabiała” ten temat wspólnie z koleżanką z historii sztuki, która na praktykach w galerii dowiedziała się, ile będzie zarabiała po studiach, gdyby udało jej się tam zatrudnić. Usłyszała wtedy od Baśki, że chyba już wie, czym są zawody, w których doświadcza się „szczególnej pogardy wobec kobiet”. Potem dziewczęta weszły na stronę Ministerstwa Finansów, gdzie umieszczono raport prof. Jerzego Hausnera o finansowaniu kultury, wygłoszony podczas Kongresu Kultury Polskiej w 2009 roku. Jeden *passus* szczególnie rzucił im się w oczy: o tym, że zarobki prowadzą do degradacji placówek i posad w muzeach i galeriach, a w efekcie do ich feminizacji...

Ewa nie wiedziała, co bardziej przygnębiające: czy publicznie żywione przez byłego ministra przekonanie, że feminizacja zawodu to właściwie ostatni stan degradacji profesji, czy milcząca zgoda rządzących na ustawiczne ograniczanie pieniędzy dla określonych zawodów. Może nie tylko kolega Ewy ze studiów uważa, że wybrane kierunki mogą studiować jedynie kobiety, bo ma je kto utrzymywać? Może tak samo sądzą niektórzy ministrowie i pracodawcy, szczególnie jeśli są mężczyznami? O co nie trudno, skoro działalność polityczna i sprawowanie stanowisk od dziesiątków lat przypisane są właśnie im.



Ewie studiuje się znakomicie. Już myśli o rozpoczęciu studiów na drugim fakultecie albo o studiach podyplomowych, nawet diametralnie różnych od dotychczasowych zainteresowań. Może organizacja i ekonomika służby zdrowia? Możliwość napisania doktoratu też nie odrzuca. Może rzeczywiście nadszedł „czas kobiet”, bo Ewa czuje się tak, jakby wszystko było możliwe. Szybko się jednak przekona, że feministyczne hasła to jedno, a skrzecząca rzeczywistość to drugie...

Ewa, jeszcze przed obroną dyplomu, wysłała pierwsze CV: do oficyn wydawniczych, do paru korporacji, gdzie mogłaby się przydać osoba z językami i starannie wykształcona. Coś kiedyś słyszała o „lojalkach ciężowych”, ale od kiedy zmieniono kodeks pracy i zakazano takich praktyk, wydawało jej się mało prawdopodobne, by potencjalny pracodawca odważył się ją zapytać o plany rodzinne.

Tymczasem w kilku miejscach rozmowa wyglądała tak: „Ma pani znakomite kwalifikacje na to stanowisko. Na dodatek chce pani dalej podwyższać swoje kompetencje – świetnie! Lubię pracowników, którzy w siebie inwestują. Ma pani rodzinę? Partnera, dzieci? A zamierza pani mieć? A kiedy? Ile dzieci pani planuje?...”.

Na początku Ewa była zaskoczona, ale próbowała się bronić i tłumaczyć, że zadawanie takich pytań łamie prawo. Jej rozmówcy (i rozmówczynie, bo parę razy to właśnie kobiety wypytywały ją o dzieci) nie wydawali się specjalnie

skonfundowani: kończyli indagacje zapewnieniem „oddzwonimy”, ale nigdy tego nie robili. Wtedy Ewa zmiękła i bez oporów odpowiadała na wszystkie pytania, kłamiąc w żywe oczy, że nie zamierza rodzić dzieci. Może kiedyś...

Tymczasem pojawił się Adam, narzeczony, a potem mąż, i wiadomo było, że dzieci będą raczej wcześniej niż później. Praca i pisanie doktoratu, łączone z wychowywaniem dziecka czy dzieci, nie wydawały się jeszcze Ewie karkołomne.

Adam, który właśnie skończył studia ekonomiczne, też szukał pracy, i Ewa zauważyła jedną prawidłowość: podczas rozmów kwalifikacyjnych Adama z reguły nikt nie pyta o żonę i dzieci. A jeśli to robi, nie kryje zadowolenia, że Adam zamierza założyć rodzinę i postarać się o minimum trójkę dzieci. Nie ma przecież nic bardziej pożądanego na stanowisku bankowym niż pracownik, który jest statecznym mężem i ojcem...

Ewa zdecydowała się podjąć pracę w wydawnictwie specjalizującym się w podręcznikach i publikacjach medycznych. To praca na dobry początek: by zebrać pierwsze doświadczenia zawodowe, łącząc je z nauką na studiach podyplomowych. Wszystko idzie znakomicie: Ewa czuje się doceniona, dostaje podwyżki, nie omijają jej awanse. Szefostwo daje do zrozumienia, że przed Ewą kariera stoi otworem, więc niech szlifuje kwalifikacje, bo przydadzą się jej na wyższych stanowiskach w firmie.

Zupełnie jak w innych krajach OECD, gdzie kobiety stanowią większość wśród absolwentów szkół wyższych i coraz częściej obejmują też stanowiska kierownicze w korporacjach międzynarodowych, na przykład PepsiCo czy francuskim koncernie jądrowym Areva. Tak naprawdę to jednak wyjątki, bo chociaż w wielu krajach kobiety stanowią prawie połowę ogółu zatrudnionych, to w żadnym państwie ich reprezentacja wśród menedżerów nie jest porównywalnie wysoka. Mimo zmian kulturowych prawidłowość jest od lat ta sama: im wyższe stanowisko kierownicze, tym kobiet mniej.

Tymczasem kobietom nie brakuje ani wykształcenia, ani umiejętności pracy na wysokich szczeblach kierowniczych. Z danych statystycznych wynika bowiem, że pracownice są przeciętnie lepiej wykształcone od pracowników. To kobiety dominują wśród studentów, słuchaczy studiów podyplomowych, także coraz więcej kobiet kończy studia MBA, przygotowujące do obejmowania stanowisk zarządczych. Jak podaje GUS, w roku akademickim 2009/2010 kobiety stanowiły ponad połowę społeczności doktoranckiej w Polsce (18 179 doktorantek w gronie 34 tys. słuchaczy studium doktoranckiego).

KORZYŚĆ

To nie wszystko. Kobiety posiadają intuicję, zdolności komunikowania się i znajdowania porozumienia, współpracy, negocjowania i dochodzenia do kompromisu, traktowania pracowników jako najważniejszego kapitału w firmie.

Ni mniej, ni więcej kobiety lepiej niż mężczyźni rozumieją, jak ważne jest zarządzanie demokratyczne, które przyjęło się uważać za przyszłość zarządzania.

Skoro kobiety są tak fantastyczne w miejscu pracy i tyle korzyści osiągnęłyby krajowa gospodarka, gdyby je doceniano adekwatnie do ich umiejętności, to dlaczego kobiety wciąż obijają głowy o „szklany sufit” albo nie potrafią się odkleić od „lepkiej podłogi”?

Jedną z przyczyn przypomniała Agnieszka Graff w tekście *Wolę myć wannę*, cytując wyniki badania CBOS z 2009 roku: „Polacy obawiają się szefa-kobiety – aż 39 proc. ankietowanych wolałoby, aby ich szefem był mężczyzna, a jedynie 9 proc., aby była to kobieta. Co jeszcze? Jeszcze ten drobny szczegół zwany »łączeniem ról«. Otóż kobiety wykonują statystycznie 80 proc. prac domowych – jedyne, co się zmieniło w ostatnich dekadach, to samozadowolenie mężczyzn (uważają, że robią więcej)”.

Jest jeszcze jeden detal, o którym przekonała się Ewa podczas rozmowy z młodszą siostrą Elżbietą, która od razu po maturze wyszła za mąż i zdążyła już urodzić trójkę dzieci.

„Ewa, gdzie ty się pchasz? Kariera? Nie daj sobie zrobić wody z mózgu: są zdolniejsi od ciebie, a na pewno bardziej zdeterminowani, którzy dla kariery zrezygnują z posiadania dzieci. Bo ty chcesz mieć dzieci, prawda? No widzisz – chcesz. I powiem ci: masz rację, dopiero dziecko daje kobiecie prawdziwą satysfakcję”.

Elżbieta rzeczywiście była szczęśliwa, choć, jak wyliczała chodząca po ziemi Ewa, siostra nie przepracowała nawet dnia poza domem i nie miała odprowadzonej nawet jednej składki na przyszłą emeryturę. Mimo to Elżbieta nie kryła, że myślała z mężem o rodzinie wielodzietnej, co w ich sytuacji nie byłoby pozbawione sensu, bo dochowali się dzieci zdrowych, radosnych i zdolnych. Prawdziwa inwestycja!

Szkoda tylko, że państwo nie bardzo chce takie „inwestycje” premiować. Nie przewiduje ulg podatkowych związanych z wychowywaniem czwórki i większej liczby dzieci (mimo że demografowie nieustannie ostrzegają przed konsekwencjami ujemnego przyrostu naturalnego w Polsce), a zasiłki wychowawcze są na tyle niskie, że 90 proc. rodzin wielodzietnych żyje poniżej minimum socjalnego. W efekcie w Polsce od lat to nie emeryci czy osoby samotnie wychowujące dzieci są zagrożeni ubóstwem, ale młode rodziny wychowujące dzieci. Posiadanie większej liczby potomstwa *de facto* stało się luksusem dla zamożnych albo udręką codziennego borykania się z brakiem pieniędzy.

Ewa docenia sposób na życie Elżbiety, ale sama myśli o czymś innym. Z przemowy siostry dziwnym trafem dotarło do niej przede wszystkim

jedno stwierdzenie: „gdzie się pchasz, przecież są zdolniejsi”. Czy ambicje pozbawiają ją kobiecości? Czy będzie gorszą matką, bo nie zamierza po urodzeniu dzieci rezygnować z pracy na rzecz urlopu wychowawczego?

By do reszty nie pozbawić się motywacji, jeszcze raz sięgnęła po tekst Agnieszki Graff. Szybko znalazła zdanie, którego najbardziej teraz potrzebowała: „To są skutki uboczne bycia inteligentną, ambitną kobietą w społeczeństwie, które ambicję uważa za niekobiecą, a na inteligencję nam co prawda pozwala, ale pod warunkiem, że mamy też inne, bardziej kobiece zalety”.

„Uff... Nie muszę przeproszać za to, że chcę wszystkiego”.



Ewa faktycznie przeproszać nie musi, ale podłoga „zacznie być bardziej lepka”, gdy pewnego dnia okaże się, że jest w ciąży. Szefostwu zmiany ogłasza hurtem: skończyła studia podyplomowe, promotor zaakceptował temat jej pracy doktorskiej, jest w ciąży... Zapewnia, że czuje się świetnie i nie wybiera się na zwolnienie lekarskie.

Zwierzchnicy pogratulowali zmian w życiu, ale ich entuzjazm wobec Ewy, jako „nadziei firmy”, wyraźnie zgasł. Ewa czuła, że jest traktowana nieledwie jak pacjentka: nie powinna wyjeżdżać, szkolenie niech sobie odpuści, dlatego siedzi dłużej w pracy, na pewno jej to zaszkodzi... Miała wrażenie, że ciąża jest traktowana jak dziewięciomiesięczna choroba, a ona sama i jej aspiracje przestały się właściwie liczyć, bo najważniejsze stało się ono – dziecko. Tymczasem ona czuła się w ciąży świetnie i nie widziała powodu, by obniżać sobie poprzeczkę, pozwalając się odsuwać od odpowiedzialnych zadań.

Pracodawca Ewy prawdopodobnie już podjął decyzję: nie zwolni jej ani w ciąży, ani podczas ewentualnego urlopu wychowawczego, bo zakazuje mu tego prawo pracy. Może jednak uciec się do „miękkiego mobbingu”: odsuwać ją od poważnych zadań i pozbawiać obowiązków, tak by ambitna Ewa, uniesiona honorem, zwolniła się sama. Jeśli okaże się wyjątkowo uparta, może jej wręczyć wypowiedzenie umowy o pracę tuż po powrocie z urlopu macierzyńskiego bądź wychowawczego.

Za takim postrzeganiem Ewy na rynku pracy stoją wyobrażenia społeczne: **dzieci ma kobieta, nie kobieta i mężczyzna, więc pracodawca, wybierając pracownika o porównywalnych kompetencjach i umiejętnościach, może myśleć tak jak kolega Ewy ze studiów: „kobietę ma kto utrzymywać”, a „prawdziwy mężczyzna”, jak wiadomo, musi umieć na siebie zarobić. Potwierdzają to badania: 69 proc. mężczyzn i 73 proc. kobiet uważa, że gdy dziecko jest małe, to mężczyzna powinien zarobić na utrzymanie rodziny, natomiast kobieta powinna**

fakt

częściowo bądź całkowicie zrezygnować z pracy zawodowej. Im dziecko starsze, tym społeczne przyzwolenie na powrót kobiety do pracy jest większe.

KORZYŚĆ

Pracodawca nie musi też być świadomy, jak cennym pracownikiem jest kobieta, także posiadająca dzieci, ale zmotywowana, by zachować pracę; nauczona łączyć wiele obowiązków i maksymalnie efektywnie wykorzystywać czas.

Szef prędzej pomyśli o tym, że za kilka lat nawet najbardziej zaangażowana w sprawy firmy pracownica urodzi kolejne dziecko i rozpocznie się seria zwolnień, nieobecności, koniecznych zastępstw. Dlatego, nim podpisze umowę o pracę, zapyta ją nie tyle o umiejętność łączenia różnych obowiązków, ile o plany macierzyńskie. W skrajnych przypadkach poprosi o podpisanie tzw. lojalki ciąży – że w czasie trwania umowy o pracę nie zdecyduje się na urodzenie dziecka. Oczywiście wymuszona deklaracja będzie nieważna, a na dodatek sprzeczna z przepisami prawa pracy.

Sytuację częściowo ratuje tzw. urlop ojcowski, czyli tydzień, jaki tata dziecka może spędzić z noworodkiem. Urlop nie jest obowiązkowy, ale niewykorzystany – przepada, więc nawet wybitnie niezmotywowani do opieki nad dzieckiem ojcowie muszą rozważyć, czy im się to opłaca.



Ewa zacisnęła zęby i pracowała właściwie do końca ciąży. Atmosferę w pracy odreagowywała na uczelni: w zaciszu bibliotek i na zajęciach podczas studium doktoranckiego. Tam nikt jej nie obniżał poprzeczki – musiała pracować równie solidnie jak reszta doktorantów.

Mimo wysiłków kobiet środowisko akademickie wciąż jest dość silnie zmaskulinizowane. O ile proporcje osób uzyskujących stopień doktora powoli się wyrównują, o tyle na podobne przesilenie w przypadku wyższych tytułów naukowych trzeba będzie poczekać jeszcze parę lat.

Prof. Karol Modzelewski przyczyny, dla których kobietom trudniej awansować w akademickiej hierarchii, opisuje następująco: „Wśród studentów, z którymi stykałem się jako nauczyciel akademicki, więcej było wybitnie utalentowanych kobiet niż wybitnie utalentowanych mężczyzn. Może to przypadek, może efekt feminizacji studiów humanistycznych lub szczególnej skłonności kobiet do empatii, która jest ogromnie ważna w pracy historyka. Jeśli jednak wśród wybitnych studentów historii i młodych pracowników naukowych przeważają kobiety, to co dzieje się z nimi później? Gdzie są wybitne Panie Profesor? Kilka znamy wszyscy, ale są one jak

rodzynki w cieście; w dodatku są to przeważnie osoby niezamężne, a niemal z reguły – bezdzietne. W naszej patriarchalnej kulturze zwyczajowy podział obowiązków rodzinnych spycha kobiety ze ścieżki awansu naukowego.

Macierzyństwo eliminuje uczoną, choć ojcostwo nie eliminuje uczonego.

Warto zwrócić uwagę, że ten stan rzeczy powoduje ogromne marnotrawstwo prawdziwych talentów”.

Naukowcy, zastanawiając się nad przyczynami, dla których tak mało jest kobiet na stanowiskach kierowniczych, wymieniają też brak kontaktów i mentorów, co pomogłoby przebić kobietom „szklany sufit”. Niewykluczone, że to problem nie tylko międzynarodowych korporacji o charakterze komercyjnym, ale także krajowych instytucji naukowych, na przykład Polskiej Akademii Nauk. Wśród ponad trzystu członków Akademii jest tylko dziesięć kobiet. Ponieważ korporacja Akademii odnawia się sama (jej członkowie w demokratycznym głosowaniu decydują o przyjęciu kolejnych członków), męski skład PAN-u to wynik przekonania – widać wciąż bardzo żywotnego w strukturach tej instytucji – że prawdziwą naukę uprawiają tylko mężczyźni.

Zwróciła na to uwagę pod koniec 2009 roku jedna z członkiń PAN-u – prof. Małgorzata Kossut – protestując przeciwko liście zagranicznych członków Akademii, na której znalazła się tylko jedna uczona. „Czy rzeczywiście na świecie nie ma wybitnych kobiet uczonych, czy też tak trudno je dostrzec Akademii zdominowanej przez mężczyzn?” – pytała prof. Kossut.



Kobiety w polskim społeczeństwie wychodzą na prowadzenie: są znakomicie wykształcone i wciąż podnoszą kwalifikacje, ale osiągają to za cenę o wiele wyższą niż mężczyźni. Przekonanie, że kobieta musi być dwa razy lepsza niż mężczyzna, by osiągnąć to samo, jest wciąż prawdziwe. Doprowadzają do tego i przekonanie części pracodawców, że kobieta nie nadaje się na szczególnie odpowiedzialne stanowiska, i sytuacja życiowa: to na kobietach spoczywa większość obowiązków związana z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu.

W trakcie studiów słowo „dyskryminacja” wiele kobiet zna tylko ze słownika. Jeżeli istnieje jakakolwiek nierówność w dostępie do kierunków kształcenia, to nie ma ona związku z płcią, ale miejscem zamieszkania, stanem zamożności czy bagażem kulturowym wynoszonym z domu. Kobiety są przekonane, że wykształcenie to ich główny oręż w walce o lepszą pozycję we współczesnym świecie. I tam, gdzie panują demokratyczne reguły naboru do zawodu, nie mogą narzekać na gorszą pozycję. Gdzie jednak królują uprzedzenia wobec rzekomej „słabszej płci”, ich możliwości ogranicza „szklany sufit”.

Potrzebne są zmiany kulturowe, które pozwolą wyrównać liczbę kobiet i mężczyzn na poszczególnych kierunkach studiów, a w efekcie – na rynku pracy. Tak jak nie ma męskich i kobiecych zawodów, bo wszystkie powinny być jednakowo dostępne dla obu płci, tak każdy kierunek studiów powinien być przedstawiany jako podobnie atrakcyjny dla każdego studenta i studentki. „Segregacja płciowa”, czyli odnawiający się na rynku z każdym pokoleniem podział na zawody zmaskulinizowane i sfeminizowane, powinna być likwidowana już podczas studiów.

KORZYŚĆ

To się wszystkim opłaci – zróżnicowane, nie tylko pod względem płci, środowisko pracy sprzyja kreatywności pracowników, podwyższa ich wydajność. Zresztą nie tylko o wzrost konkurencyjności i efekty finansowe przedsiębiorstw musi tu chodzić. Tam, gdzie kobiet i mężczyzn jest mniej więcej tyle samo, łatwiej obalać stereotypy, np. takie, że kobiety nie sprawdzają się na stanowiskach kierowniczych, a także udowodnić, że w miejscu pracy nie tylko realizacja ambicji i planów jest istotna. Ważne są też umiejętność współpracy, zespołowe osiągnięcie celów, a przede wszystkim zdolność łączenia życia zawodowego z wychowaniem dzieci, opieką nad starszym pokoleniem czy udanym związkiem.

Wszystko to jest jednakowo ważne, a za każdą z tych aktywności trzeba czuć się jednakowo odpowiedzialnym, niezależnie od płci.

BIBLIOGRAFIA :

Edwin Bendyk, *Zmiana płci*, „Polityka”, 16.10.2010.

Figi kapitana Żaby – z **Danutą Kobyliańską-Walas** rozmawia **Monika Goll**, „Wysokie Obcasy”, 4.12.2010.

Agnieszka Graff, *Wolę myć wannę*, „Wysokie Obcasy”, 7.03.2009.

Kobieta pancerna – z **Agnieszką Morawińską** rozmawia **Jakub Janiszewski**, „Wysokie Obcasy”, 14.08.2010.

Małgorzata Kicińska, *Kobieta pracująca*, „Polityka”, 20.02.2010.

Irena E. Kotowska, **Urszula Sztanderska**, **Irena Wóycicka**, „Podsumowanie i rekomendacje” raportu *Aktywność zawodowa i edukacyjna a obowiązki rodzinne w Polsce w świetle badań empirycznych*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2007.

Ewa Lisowska, **Janina Sawicka**, *Kobiety i gospodarka*, w: *Kobiety dla Polski, Polska dla kobiet. 20 lat transformacji 1989–2009 – raport*, wyd. Fundacja Feminoteka, Warszawa 2009.

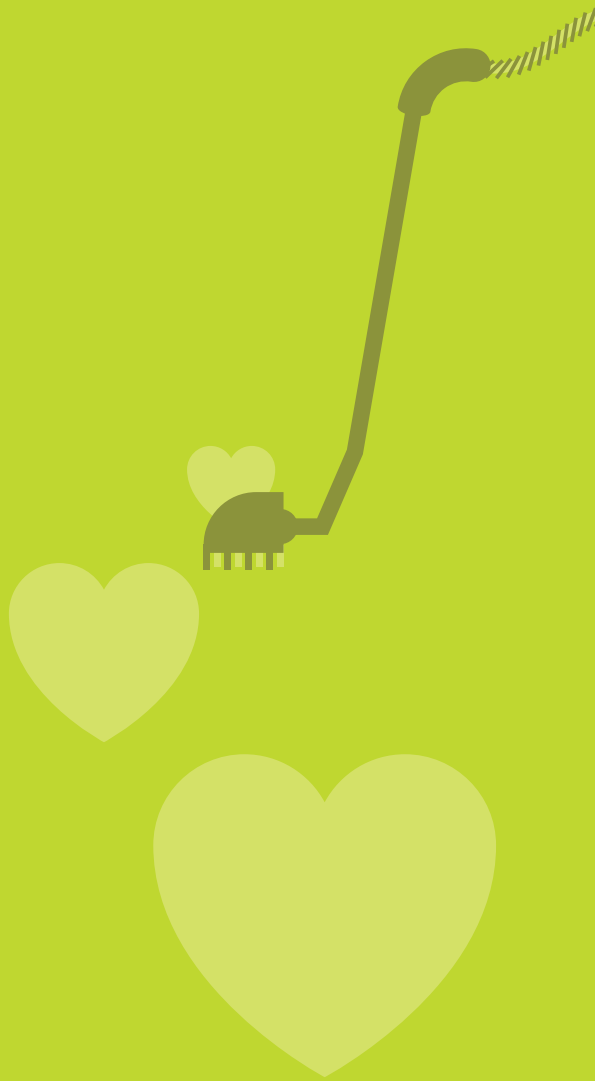
Wypowiedź **prof. Karola Modzelewskiego**: materiały własne.

Hanna Rosin, *Koniec świata mężczyzn*, tłum. Miłada Jędrzyk, „Gazeta Wyborcza”, 11–12.09.2010.

Renata Siemińska, *Kobiety w (męskim) zawodzie naukowca*, w: *Kobiety dla Polski, Polska dla kobiet. 20 lat transformacji 1989–2009 – raport*, wyd. Fundacja Feminoteka, Warszawa 2009.

Maria Siemionow, *Zabieg jeden na życie*, w: *Cud w medycynie. Na granicy życia i śmierci*

– *opowieści lekarzy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010.





4

*Ewa pracuje.
Za darmo*

Ewa ma trzydzieści dwa lata i zamiast ułożyć pościel na dziecięcych łóżkach, pozmywać po śniadaniu, nastawić pranie, znaleźć zagubiony rachunek za gaz, zapisać starszego syna na wizytę u laryngologa, zawieźć samochód do przeglądu, a po drodze załatwić zakupy i wykupić lekarstwa dla babci męża, której coraz trudniej samej wychodzić z domu – no więc zamiast całego tego codziennego krzątaństwa – czyta esej *Krząctwo* Jolanty Brach-Czajny.

Kątem oka dostrzega, że w stertach papierów zaścielających biurko, gdzieś między notatkami do raportu, jaki miała napisać dla pewnej organizacji pozarządowej (to tylko u umowa o dzieło, ale przy trójce dzieci każdy grosz się liczy, szczególnie kiedy nie ma możliwości, z powodu trójki dzieci właśnie, pracować na etacie), a rysunkami córki, leży wyrwany z „Wysokich Obcasów”, a później zagubiony, przepis na babkę piaskową. Myśląc o tym, że podczas zakupów nie może zapomnieć o kupnie mąki pszennej i cytryny, a od sąsiadki musi pożyczyć formę na ciasto, czyta po raz kolejny pierwsze zdania tekstu: „Podstawę naszego istnienia stanowi codzienność. A że fakt istnienia przeżywamy jako niezwykle ważny, więc ogarnia nas zdumienie, ilekroć uświadamiamy sobie, że upływa ono na drobiazgach”.

Już chciała przeczytać kolejne zdanie, gdy przypomniała sobie, że mąż prosił o wyprasowanie koszul – dziś rano wyciągnął z szafy ostatnią. Wstała od biurka, by położyć je gdzieś na widoku, wtedy nie zapomni włączyć żelazka. „Pomyśleć, że prezydent państwa, choć jego żona też siedziała w domu, bo wychowywali piątkę dzieci, koszule prasował sobie sam” – przypomniała sobie wywiad z czasów pewnej kampanii prezydenckiej, opublikowany w kolorowym piśmie.

„Swoją drogą: ładne mi »siedziała«” – myśli Ewa. „Od świtu na nogach...”.

W drodze po koszule, które zwinięte w sporą stertę leżą w koszu wiklinowym obok drzwi do łazienki, zaczyna się zastanawiać, jak autorka eseju o krząctwie opisałyby prasowanie męskich koszul. Może tak: termostat żelazka trzeba zatrzymać na temperaturze, w której prasuje się bawełnę, najlepiej włączyć od razu nawilżanie. Prasowanie trzeba rozpocząć od kołnierza i mankietów, potem lewy rękaw, prawy, tył koszuli, przód... Żelazko trzeba czasami docisnąć mocniej, wjechać jego czubkiem w każdą szczelinę, rozprasować fałdy. Na końcu zawiesić na wieszaku. (Jej mama nigdy by tego nie zrobiła – starannie składała koszulę w kostkę).

Koszule piętrzą się już na łóżku, zajmie się nimi po południu, gdy obiad będzie dochodził na piecu. Ewa może wreszcie skupić się na kolejnych zdaniach eseju: „Codzienność stanowiąca tło egzystencjalne zdarzeń niezwykłych, których oczekujemy – często nadaremnie – może więc decydować o wszystkim.



Ma wymiar drobny. Częstotliwość duża. Jest niezauważalna”.

Ale czy nic niewarta?



fakt

Ewa nie otrzymuje pensji, ale to nie znaczy, że wykonywana przez nią każdego dnia praca dla rodziny jest niepoliczalna albo pozbawiona materialnej wartości.

Jak wylicza prof. Renata Siemieńska, wartość prac wykonywanych przez kobiety na rzecz domu wynosi średnio 231 złotych tygodniowo (wyliczenia z 2004 roku), a 168 złotych w przypadku mężczyzn. Oczywiście tych sum, podobnie jak wartości nieodpłatnej pracy kobiet wykonywanej w rodzinnym gospodarstwie rolnym czy warsztacie usługowym, nie uwzględniają krajowe statystyki. Mimo że wedle niektórych wyliczeń wartość pracy domowej jest równa przeciętnemu wynagrodzeniu miesięcznemu w gospodarce narodowej, a dobra i usługi wytwarzane w gospodarstwie domowym powiększają wartość PKB o prawie 23 proc.

Ewa wykonuje prace, których efektów – jak sądzi 91,6 proc. żon i mężów – się nie zauważa (chyba że na przykład nie wyprasuje się koszul albo nie ugotuje obiadu), które nie mają końca (90,2 proc.), są monotonne (87 proc.), polegają w dużej mierze na usuwaniu brudów (61,6 proc.).

Czyli jest mniej więcej tak jak w fabryce, tyle że za darmo.

Ewa nie ma też opłacanej składki ubezpieczeniowej, a więc po przejściu na emeryturę czas poświęcony domowi nie będzie wliczony do stażu pracy i nie podwyższy jej emerytury.

Ewa nie jest jedyna. Wśród osób w wieku osiemnastu – sześćdziesięciu pięciu lat pozostających w związkach pracę odpłatną wykonuje 54 proc. kobiet i 69 proc. mężczyzn. Z tej grupy aż co piąta kobieta (20 proc.) i tylko 0,7 proc. mężczyzn zajmuje się jednocześnie domem i dziećmi. Z przygotowaniem obiadu jest jeszcze gorzej: przygotowuje go 86,9 proc. aktywnych i 93,6 procenta nieaktywnych zawodowo kobiet, po posiłkach zmywa odpowiednio 77 i 81,9 proc. kobiet. Nawet bezrobotny polski mąż i ojciec nie odciąża pracującej na pełnym etacie żony i matki od obowiązku zajmowania się domem.

Marnym pocieszeniem jest fakt, że dzięki zmianom na rynku pracy, upowszechnieniu dostępu do wielu dóbr i usług, a także za sprawą większego zaangażowania mężczyzn liczba godzin przeznaczanych przez kobiety każdego dnia na prace związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego zmniejszyła się z 5 godzin do 4 godzin 38 minut, czyli o 22 minuty, ale w ciągu dwudziestu ośmiu lat, bo badania obejmowały lata 1976–2004.

Kobiety wciąż przeznaczają dwukrotnie więcej czasu na obowiązki domowe niż mężczyźni.

Ewa wolałaby dzielić się obowiązkami bardziej sprawiedliwie, choćby dlatego, że wówczas z lepszym sercem i szybciej wróciłaby do pracy. Raczej nie będzie łatwo. Ponad 90 proc. Polek i Polaków uważa, że dziecko to sprawa przede wszystkim kobiety. Ona jest odpowiedzialna za pilnowanie dziecka, jego pielęgnację, organizowanie mu opieki, a nawet kinderballi. To na jej głowie jest też troska o zdrowie dziecka i opieka nad nim w chorobie. Ojciec, zajmując się rozrywkami syna czy córki, ma charakter „odświętny”. Tak uważa 31,3 proc. kobiet i 44 proc. mężczyzn.

Ewie nie brakuje jednak determinacji. Po pierwsze: kto szanuje gospodynię domową? Z badań wynika, że tylko 3,7 proc. mężczyzn i 4,8 proc. kobiet. Ewa, podobnie jak prawie 60 proc. kobiet, uważa, że kobiety pracujące zawodowo cieszą się większym poważaniem.

Po drugie: Ewa, jak co druga kobieta pozostająca w związku i co trzeci mężczyzna, uważa przerzucanie obowiązków domowych na kobiety za ich wykorzystywanie. Przecież z jakiegoś powodu Eliza Orzeszkowa napisała, że termin emancypacji kobiet „powstał z pojęcia o istniejącej w ludzkości potrzebie zrzucenia z kobiet jakiegoś jarzma”!

Po trzecie: przyda się druga pensja (a kiedyś druga emerytura) i to nie tylko ze względu na rosnące koszty życia – przecież nic tak nie podbudowuje poczucia wartości jak samodzielność finansowa.

Po czwarte: dom to nie korporacja – nie wszystko musi być zorganizowane na tip-top: widok pustej lodówki czy wysypującej się z kosza brudnej bielizny pomoże „zauważyć niezauważane”.

Po piąte... Pojawiają się wątpliwości: co prawda 81,1 proc. kobiet wchodzących w dorosłe życie zamierza godzić prowadzenie domu z pracą zawodową i tak faktycznie robi, ale praca zarobkowa kobiet jest uważana za mniej wartościową (mniejsza pensja od „męskiej”, trudność awansu), więc oczekuje się, że kobieta podporządkuje ją obowiązkom matki i żony.

W polskim społeczeństwie bowiem marzenia o „równościowym modelu związku”, w którym oboje partnerzy pracujący zawodowo jednakowo dzielą się obowiązkami w domu, to jedno, a praktyka – drugie. I nie może być inaczej, skoro 83,1 proc. badanych uważa, że mężczyzna jest odpowiedzialny za byt materialny rodziny, z kolei 81,6 proc. jest przekonanych, że matka bardziej niż ojciec powinna się poświęcać na rzecz dziecka i dobra rodziny. A jeśli jeszcze przypomnieć, że aż 65,4 proc. badanych uważa pranie, gotowanie i sprząatanie za „naturalny obowiązek kobiety”, przestaje być tajemnicą, dlaczego, mimo emancypacyjnych deklaracji, w praktyce dominuje najmniej



Więc może jednak zostać kurą domową, zamiast pracować na dwóch etatach, ale za jedną pensję?

Ewa przegląda listy na jednym z kobiecych portali, gdzie akurat toczy się dyskusja o tym, czy lepiej być kobietą pracującą, czy kobietą prasującą.

„Mam 33 lata (...). Starszy syn pójdzie do czwartej klasy, młodszy do przedszkola, a ja dalej jestem »kurą domową«” – pisze bezrobotna Wioleta M. „Jestem przy nich, patrzę jak się rozwijają, śmieją, płaczą, i nie żałuję ani sekundy spędzonej z nimi. Wiem, że urosną i pójdą w świat, ale wiem, że było warto”. Czytelniczka pisze o tym, że w oczach męża znajduje miłość i szacunek, więc o emeryturę, domyśla się Ewa, martwić się nie musi.

Czytelniczka ukrywająca się pod nickiem „200 proc. normy” nie ma dzieci i przypomina, kto pracuje na jej emeryturę – wbrew temu, co piszą „matki prasujące”, ona sama, bo „państwo ma obowiązek oddać mi to, co obecnie ode mnie pożycza”. Tym bardziej że „to ja trzeci rok mam niemal 200 proc. obowiązków, bo zastępuję kolejne koleżanki, które w szóstym tygodniu ciąży odchodzą na zwolnienie lekarskie. To ja będę się dwoić, jeśli koleżanka wróci do pracy na pół etatu lub zdecyduje się na urlop wychowawczy”.

Joanna z kolei pisze wprost: „Pewnie, że czasem zazdroścę mamom, które mają więcej czasu dla swoich dzieci, mamom, które podjęły decyzję, żeby być w domu, tylko dla rodziny. Tylko ja bym tak nie umiała i nie chciała nawet. Ja lubię pracować, lubię być wśród ludzi mimo zmęczenia i wkurzających sytuacji. Bywam poirytowana i niemila. Bywam fatalną panią domu. Ale w gruncie rzeczy jestem szczęśliwa. Bo jest, jak chciałam”.

O zachwycie w oczach męża nie było ani słowa, jak też o wyrzutach sumienia, że nie jest „cała dla dzieci”, a emeryturę Joanna będzie mieć. Tak jak i Matka Pracująca: „W życiu trzeba godzić wiele rzeczy naraz i pewnych spraw nie da się tak do końca rozdzielić. (...) Zawsze pracowałam na wysokich stanowiskach, nie korzystałam z urlopu wychowawczego, a mąż woził dzieci do żłobka i przedszkola. Razem je wychowywaliśmy, razem zarabialiśmy na rodzinę (...). Niepracujące »dobre matki«, pozostanie w domu jest Waszym wyborem. O tym natomiast, czy byliśmy dobrymi rodzicami, zadecydują jednak nasze dzieci, a może dopiero wnuki”.

Ewa też nie żałuje czasu spędzonego z dwoma synami i córką. Już nie pamięta nieprzespanych nocy, znudzenia czytaniem po raz kolejny tych

samych bajek – ogólnego „umamusienia”, kiedy potrzeby kolejnego dziecka były ważniejsze od przeczytania książki, napisania kilku zdań rozpoczętego doktoratu czy choćby pójścia do kina z mężem. Ale wie, że za cenę „czasu papiek i kupek”, kiedy ona, jako osoba myśląca i z wielkimi niegdyś aspiracjami, nie liczyła się w ogóle, ma trójkę szczęśliwych, udanych dzieci. Zrobiła wiele, by silna więź łącząca w naturalny sposób matkę z małym dzieckiem przekształciła się później w opartą na zaufaniu przyjaźń. W jakimś bardzo mądrym poradniku wyczytała zresztą, że charakter dziecka kształtuje się w pierwszych miesiącach i latach życia... No więc ona kształtowała.



Ale nie tak miało być... Podczas pierwszej ciąży czuła się świetnie i pracowała do ostatnich dni przed porodem. Na zdziwione pytania koleżanek, które „na wszelki wypadek” prosiły lekarza o zwolnienie lekarskie już w pierwszych tygodniach ciąży, odpowiadała, że ciąża to nie choroba, ale stan dla kobiety w pewnym momencie jej życia naturalny.

Położna tylko jej przyklasnęła. „Ciążę trzeba odmedykalizować” – tłumaczyła. „Jeśli czuje się pani świetnie i nie będzie wykonywała pracy ponad siły – wszystko będzie dobrze. Zresztą niech sobie pani przypomni, jak ciężko musiały pracować nasze babki, a bez powikłań rodziły nawet kilkoro dzieci”.

Ewa nie miała jeszcze wówczas wielkich planów prokreacyjnych. Chciała natomiast uniknąć sytuacji, w której znalazło się parę jej koleżanek. Najdalej w drugim-trzecim miesiącu ciąży rezygnowały z pracy na rzecz zwolnienia lekarskiego. Nie zawsze dlatego, że czuły się źle albo ciąża była zagrożona. Czasami udzielały im się obawy lekarza: „a jak coś się pani stanie?”. Bywało, że same uciekały na zwolnienie, „żeby odpocząć, bo potem się natyram”.

Po porodzie korzystały z kilkunastu tygodni urlopu macierzyńskiego, dzieląc jeden tydzień z ojcem dziecka i otrzymując zasiłek macierzyński w wysokości 100 proc. zarobków. Następnie wykorzystywały zaległy urlop wypoczynkowy, a potem rozpoczynały dwuletni urlop wychowawczy. Urlop był bezpłatny, koleżanki miały tylko odprowadzane składki emerytalno-rentowe (chyba że dochód w rodzinie był niższy od 504 złotych na osobę miesięcznie, wtedy otrzymywały zasiłek rodzinny, zależny od wieku dziecka, i różne dodatki do niego).

Na szczęście ustawodawca mocno uelastyczył kwestię urlopu: obecnie rodzic na urlopie wychowawczym może pracować na części etatu – jest częściowo na urlopie, a częściowo w pracy – posiadając pełną ochronę przed zwolnieniem.

Można jednak z urlopu nie skorzystać i poszukać opiekunki do dziecka

– tyle że jej wynagrodzenie czasami pochłania znaczącą część pensji jednego z rodziców.

Jeśli w trakcie urlopu wychowawczego pojawiło się następne dziecko, koleżanki wracały do pracy po czterech–pięciu latach jak do innego świata. Tym bardziej że z reguły nie pracowały w wielkich koncernach, jak IBM czy Volkswagen, gdzie pracodawca wysyła matki korzystające z urlopu macierzyńskiego lub wychowawczego na szkolenia, a nawet jest w stanie wyposażyć je w laptopa, by część pracy mogły wykonywać w domu.

„No jeszcze czego?” – usłyszała od jednej z koleżanek, której Ewa ze znanstwem opowiadała, jak to dzięki zachodnim koncernom mają szansę pojawić się w Polsce inne standardy traktowania w pracy matki z dzieckiem. „Nie dość, że wstaję w nocy do płaczącego dziecka, przecieram zupki, odprowadzam starszego do przedszkola, zajmuję się domem, to jeszcze mam pracować?! Na szkolenia jeździć? A z kim dzieci zostawię?”

Ewa już chciała przypomnieć, że przecież dzieci mają ojca, który na czas szkolenia mógłby wziąć urlop, ale nie zdążyła, bo usłyszała: „Jak urodzisz, chętnie zobaczę, jak korzystasz ze swoich dobrych rad”.

Przezornie ugryzła się w język, ale jednak nie mogła, przynajmniej samej sobie, nie zadać pytania: a jak radzą sobie panie prowadzące samodzielną działalność gospodarczą? Albo te, które nie mają etatu, ale pracują na podstawie umowy zlecenia? Im nie przysługuje prawo do urlopu wychowawczego i nikt się nie interesuje tym, czy mają z kim zostawić dziecko, gdy po macierzyńskim wracają do pracy.

Tak koleżankom Ewy, jak i kobietom prowadzącym działalność gospodarczą doskwiera przede wszystkim jeden problem: brak dostępu do opieki żłobkowo-przedszkolnej dla wszystkich chętnych. To efekty decyzji z początku lat 90., kiedy żłobki i przedszkola wyjęto z zarządu administracji centralnej i oddano do prowadzenia samorządom, nie powiększając jednak lokalnych budżetów na tyle znacząco, by mogły one prowadzić wszystkie potrzebne placówki. W efekcie, jak słusznie zauważa prof. Magdalena Środa, „spowodowało to zamykanie przedszkoli, zgodnie z hasłem, które łączyło wszystkie rządy ponad podziałami, że kobiety i tak sobie dadzą radę i możemy na nich oszczędzać”.

Jeśli po raz kolejny przypomnieć, że pracę odpłatną wykonuje 54 proc. kobiet i 69 proc. mężczyzn, to połączenie tego z wychowaniem dzieci, przy niedostatecznej liczbie żłobków czy przedszkoli albo nie zawsze elastycznym czasie pracy, jest więcej niż karkołomne. Natomiast marzenie o kobiecych ambicjach zawodowych staje się prawie szyderstwem albo przedsięwzięciem dla siłaczek.



Żłobki i przedszkola powinny być dostępne dla wszystkich chętnych, bez zaglądania im w portfele czy liczenia dzieci. Tym bardziej że, zwłaszcza na prowincji, to pierwsze instytucje, w których można zacząć wyrównywać szanse edukacyjne dzieci. Na pewno nie powinny to być przechowalnie dzieci dla rodziców robiących karierę czy, po prostu, zarabiających na życie. Nie od rzeczy będzie przypomnieć po raz kolejny, że zgodnie z zaleceniami unijnymi przynajmniej 30 proc. dzieci przed trzecim rokiem życia powinno chodzić do żłobka.

„A babcia?” – mógłby ktoś zapytać. To faktycznie jest wyjście, tym bardziej że większość pań, im częściej kolejne rządy mówią o wydłużeniu czasu pracy kobiet, tym skwapliwiej chce korzystać z wcześniejszej emerytury. Bo wtedy, zamiast pracować za niską pensję na przykład na kasie w supermarkecie, mogą wychowywać wnuki albo dzieci sąsiadów. Kinga Dunin ujęła to tyleż lapidarnie, co właściwie: „Specyficzne dla kobiet mogą być czynniki związane z miejscem rodziny w ich hierarchii wartości. Czyli mówiąc po ludzku, to, że babcia jest niezbędna, żeby córka mogła zacząć pracować na swoją głodową emeryturę”.

Ewa, niestety, kolejny raz w samodzielnym życiu przekonuje się, co to znaczy być „dziewczyną z prowincji”. Babcia mieszka 200 kilometrów od Wielkiego Miasta i nie przeprowadzi się, bo nie chce mieszkać w mieście. Druga babcia ma pracę, którą lubi, więc nie zamierza jej zamieniać na niańczenie wnuków. Ewa i Adam zostali więc z dzieckiem sami.



Ale urodzili je razem, w szpitalu publicznym, gdzie Ewa nie dostała znieczulenia, bo poród bez bólu nie jest refundowany. Zacisnęła zęby, ale powiedziała sobie: „Pierwszy i ostatni raz; przy kolejnym od ust sobie odejmę, ale zaoszczędzę i sama zapłacę za znieczulenie”.

„Każdą decyzją finansową jest polityczna. Wydajemy pieniądze na to, co cenimy” – zauważa prof. Monika Płatek, prawniczka, komentując brak refundacji znieczulenia okołoporodowego. „O znieczuleniu przy porodzie rozmawiamy jak o ekstrawagancji, na którą budżetu nie stać. Bo ból porodowy

jest »naturalny«. (...) nikt nie amputuje kończyn bez znieczulenia, bo to przydarza się również mężczyznom. Nie ma pieniędzy na badanie prenatalne, bo może zaowocować usunięciem ciąży, ale już viagra podejrzana nie jest”.

Po urlopie macierzyńskim Ewa wróciła do pracy. Do dziecka znaleźli niankę – mieli naprawdę dużo szczęścia: dziewczyna była odpowiedzialna, ale nie zdzieriała z nich ostatniego grosza. Zawsze jednak zastanawiało Ewę, dlaczego, skoro jako matka jednego dziecka dysponująca dwiema pensjami nie może liczyć na żłobek, nie ma chociaż możliwości odliczyć wydatków na niankę od podatku? I jak to państwo chce nakłonić ludzi do posiadania większej liczby dzieci, skoro potem wszystko zostawia na głowach rodziców?

Decyzję o drugim dziecku poprzedziły miesiące dylematów. Chcieli je mieć (i kolejne też jak najbardziej), syn rozglądał się za innymi małymi dziećmi, ale jak dadzą radę?! Babci nie będzie, Ewa nie da już rady wrócić do pracy, będą żyli z pensji Adama i z dorywczych zleceń Ewy. Ale może z czasem znajdą miejsce w żłobku lub przedszkolu i Ewa jednak do pracy wróci?

Nie wróciła. Rok po urodzeniu córki urodził się młodszy syn i Ewa zajęła się domem i dziećmi; w pracy korzystała z urlopu wychowawczego. W wolnych chwilach, zdarzających się raz na kilka tygodni, kończyła doktorat.

„Może tak i lepiej” – mówiła czasami do męża. „Odchowamy dzieci hurtem. Starszy już przecież chodzi do przedszkola. Za rok czy dwa lata wrócę do pracy”.

Rzeczywiście wróciła, ale nie bardzo miała o co zahaczyć ręce. Jej stanowisko zlikwidowano, dawna „nadzieja firmy” jakoś nie mogła doczekać się sprecyzowania nowych obowiązków i kompetencji – czuła się ewidentnie niepotrzebna i nie na swoim miejscu. Taka „mamuśka”, po prostu.

„Jakbym to sobie wyprorokowała” – mówiła w duchu, gdy po kilku miesiącach miotania się i tracenia czasu sama złożyła wypowiedzenie umowy o pracę. I pomyśleć, że parę lat temu solennie sobie obiecywała, że zrobi wszystko, by nie podzielić losu koleżanek, które po urodzeniu dziecka działalność zawodową zawieszały na kołku.

Zadzwoiła do mamy, by się wyżalić.

„Wszystko jest kwestią organizacji” – usłyszała zdumiona. „Ja wychowałam pięcioro dzieci, całe życie chodziłam do pracy, a znajdowałam czas nawet na lepienie pierogów, bo twój ojciec domowe lubił najbardziej”.

„Znikąd wsparcia!?” – pomyślała z przerażeniem Ewa i zapytała, zagryzając wargi, by nie wybuchnąć: „A czy mamusia korzystała ze żłobków albo przedszkoli?”. „Naturalnie, a co w tym złego? Już Ewunia nie pamięta, jak się mazgała, gdy nie chciała wstawać o szóstej do przedszkola? Ty jakoś zawsze byłaś skora do użalania się nad sobą”.

I to mówiła mama, która tak w nią zawsze wierzyła... Ewa szybko się pożegnała. Nie lubiła – od dziecka! – gdy mówiono do niej: „Ewuniu”.

Poza tym musiała zrobić fiszkę z tej rozmowy, bo może się ona okazać bardzo przydatna przy pisaniu pewnej książki (choćby i na pracowitej emeryturze). Ma już tytuł: „Matkobójczyni”...

W czasie, kiedy złożyła wypowiedzenie umowy o pracę, wzięła rozbrat z jeszcze jedną instytucją – Kościołem katolickim. Po pierwsze dlatego, że księżowska narracja propaguje jedyny słuszny wzorzec kobiecości: żony i matki, ofiary i męczennicy, która na ołtarzu ogniska domowego poświęca wszystkie nierodzinne ambicje. Ewa z lektury książek teolożki Elżbiety Adamiak wie, że księża mogliby być bardziej pluralistyczni.

Po drugie, koleżanka musiała się tłumaczyć, dlaczego skorzystali z mężem z tak niegodnej człowieka metody powoływania do życia jak *in vitro*, zamiast zaadoptować dziecko. Fakt, że starali się o dziecko od lat, a na możliwość skorzystania z nierefundowanej przez Narodowy Fundusz Zdrowia metody oszczędzali dłuższy czas, nie miał znaczenia. Dla księdza w ich staraniach nie było miłości, tylko „wyrachowany egoizm i zgorzenie”.

Na odtrutkę Ewa poleciła koleżance tekst *Anioły in vitro* Haliny Bortnowskiej, katolickiej publicystki, która wychowała czwórkę dzieci swojego męża z pierwszego małżeństwa.

Po trzecie wreszcie: Ewa nie dostała rozgrzeszenia. Przy okazji spowiedzi wielkanocnej zapytano ją (nie pierwszy zresztą raz) o antykoncepcję. Adamowi nigdy jakoś tych pytań nie zadawano – widać księża, jak „prawdziwi mężczyźni”, uważali, że antykoncepcja to sprawa kobiet, więc jeśli ktoś tu może grzeszyć, to tylko one. Ewa przyznała, że korzysta z antykoncepcji hormonalnej, bo stosowanie tzw. naturalnych metod skończyło się trzecim dzieckiem. Kochanym, jak najbardziej, ale czy ksiądz może wie, co to znaczy wstawać do dwóch małych dzieci niemal co godzinę, prawie każdej nocy? Czym jest wnoszenie na rękach jednorocznego, wierzącego dziecka do mieszkania na czwartym piętrze bez windy, w wysokiej ciąży i na opuchniętych jak stągwie nogach?

Ksiądz, oczywiście, nie wiedział, choć zapewniał, że rozumie i współczuje. Rozgrzeszenia nie udzielił. Kościół wszak stosowania antykoncepcji zakazuje.

Ewa, odchodząc od krutek konfesjonału, doszła do wniosku, że niepotrzebnie zawracała temu księdzu głowę. Przecież bez żalu za grzechy spowiedź i tak nie ma sensu. A ona nie żałuje: ani tego, że ma dzieci, ani tego, że stosuje antykoncepcję, bo nie może sobie pozwolić na kolejne dziecko. Kontakt z Kościołem postanawia jednak ograniczyć do uczestniczenia w niedzielnej mszy. Na pewno nie będzie przestrzegać „nieżyjących” przepisów tej instytucji. I jak koleżance podsunęła tekst Bortnowskiej, by ją przekonać, że nie wszyscy katolicy myślą tak jak kler, tak sobie zafundowała wizytę na portalu

„Kościół – seks – moralność” katolickiego publicyisty, który odważnie polemizuje z kościelnym podejściem do seksu i antykoncepcji.

Ewa nawet się nie spostrzegła, jak dwie najważniejsze dla społeczeństwa, w którym żyje, instytucje – państwo i Kościół – przy niewątpliwie dobrej woli wielu ludzi zostawiają jej rodzinę samą sobie.



fakt

Ewa ma prawo czuć osamotnienie, ale może warto odłożyć na bok emocje i porzesać na rachunku ekonomicznym, który pomogłby zrozumieć, jak wiele tracimy, nie wspierając kobiet i rodziny.

Najpierw przyjrzyjmy się finansowym konsekwencjom nierównego podziału obowiązków domowych między kobiety i mężczyzn:

z danych GUS wynika, że kobiety poświęcają pracy więcej czasu niż mężczyźni i w większym niż oni zakresie wykonują pracę nieodpłatną. Wśród osób w wieku osiemnastu – sześćdziesięciu czterech lat kobiety tygodniowo pracują 71 godzin i 32 minuty – o 2 godziny i 30 minut dłużej niż mężczyźni.

Dalej: dochody 41 proc. mężatek są małą częścią domowych budżetów, jedynie 24 proc. ma pensje zbliżone do tych, które otrzymują mężowie. Aż 22 proc. mężatek nie ma żadnych własnych dochodów. Są więc niesamodzielne finansowo. Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej po rozstaniu z partnerem lub po jego śmierci. Brak osobistej stabilizacji finansowej ciągnie się aż do późnych lat, ponieważ kobiety, zostając w domu lub pracując zawodowo w mniejszym wymiarze, nie wypracowują własnych emerytur, tudzież są one znacząco niższe od ich „męskich” odpowiedników.

Z finansowego punktu widzenia nie opłaca się więc „poświęcać dzieciom i domowi”. Tym bardziej że pomysł wypłacania gospodyniom domowym pensji z budżetu państwa ma niktę szanse realizacji, choć popiera go 51,5 proc. kobiet i 56,3 proc. mężczyzn pozostających w związkach. Ankietowani nie tyle jednak mieli na myśli „płacę za pracę”, ile wspieranie domowych budżetów, zasiłki na wychowywanie dzieci, rekompensaty za niemożność podjęcia pracy zawodowej z powodu wychowywania dzieci lub opieki nad osobą niepełnosprawną. Zdaniem badanych pensja miałaby więc mieć charakter „zasiłkowy” i powinna być wypłacana tylko niektórym gospodyniom domowym: wychowującym małe dzieci, z rodzin wielodzietnych, niepracującym zawodowo, bezrobotnym, pozbawionym środków utrzymania.

KORZYŚĆ
dla wszystkich

Pomysł „utrzymywania żon przez państwo” w zamian za wykonywanie przez kobiety prac domowych na rzecz mężów i dzieci ma przeciwników także dlatego, że takie rozwiązanie uzależniałoby kobiety od państwa, zastępując dotychczasowy patriarchyat „patriarchyatem państwowym”.

SYTUACJA EWY WYGLĄDA WIĘC NASTĘPUJĄCO:

◆ czuje się niedoceniona, choć ciężko pracuje; wolałaby mniej się poświęcać, a czuć więcej satysfakcji, w tym finansowej, na przykład gdyby możliwe było łączenie pracy zawodowej z prowadzeniem domu;

◆ trójka potomstwa jest zdrowa, zdolna i udana, ale dzieci więcej nie będzie – za duży koszt, szczególnie jeśli wychowanie dzieci jest właściwie wyłącznie na głowie rodziców.

Co w takim razie?

◆ Jeśli oboje rodzice chcą pracować, trzeba mocniej rozbudować instytucje opiekuńcze. Chodzi jednak nie tylko o żłobki i przedszkola dla wszystkich chętnych, lecz także o możliwość korzystania na przykład ze świetlic. Inaczej bogaci opłacają opiekunkę, dzieci uboższych zaś chodzą z kluczem na szyi. Państwo powinno też tworzyć mechanizmy sprzyjające angażowaniu się ojców w wychowanie, choćby przez wydłużenie urlopów ojcowskich.

◆ Ale z drugiej strony: jeśli ojciec lub matka chcą pracować, wychowując dzieci, prowadząc dom i zajmując się dziadkami, nie można ich zostawić samym sobie. To praca równie ważna społecznie jak służba w dyplomacji czy budowa „orlików”, trzeba więc zadbać o ich zabezpieczenie emerytalne.

◆ Każda firma powinna być „przyjazna mamom” (i ojcom też). Pracodawcy powinni wprowadzać i upowszechniać elastyczne formy zatrudnienia (w tym pracę w domu), a także pomagać w powrocie rodziców do pracy po kilku latach urlopu wychowawczego.

◆ Konieczna jest zmiana wyobrażeń społecznych: opieka to też praca – ani gorsza, ani bardziej upokarzająca niż te zajęcia, które przyjęło się uważać za „zawodowe”. Trzeba mówić i pisać o niej w sposób dowartościowujący, a nie deprecjonujący. Ciepły dom i silne więzi międzyludzkie to kapitał na całe życie. Nie zaszkodzi też przypomnieć, że wprowadzenie kobiet na rynek pracy podwyższyłoby PKB o 7 proc.

◆ Bardziej równościowy podział obowiązków musi wyjść ze sfery deklaracji do świata praktyki społecznej. Godzenie pracy z prowadzeniem domu to nie tylko zadanie kobiety. Muszą się z tym pogodzić zarówno mężczyźni, jak i same kobiety. Inaczej będzie tak, jak diagnozuje prof. Henryk Domański, socjolog, w tytule swojej książki: *Zadowolony niewolnik idzie do pracy*. Jak dopowiada prof. Monika Płatek: „Kobieta: siła robocza, chwalona, zniewolona

i źle bądź wcale nieopłacona”. Fakt, że o równych prawach dla kobiet wciąż się tylko mówi, a opieka nie jest traktowana jak praca, zdaniem prof. Płatek wynika przede wszystkim z tego, że prawo w państwie piszą mężczyźni, a samo państwo przez nich rządzone jest kobietom nieprzyjazne.

Kolejne zalecenie powinno więc brzmieć:

► Być może niewiele uda się zmienić, o ile do polityki nie zostaną wprowadzone parytety, dzięki czemu w życiu publicznym pojawi się więcej kobiet.



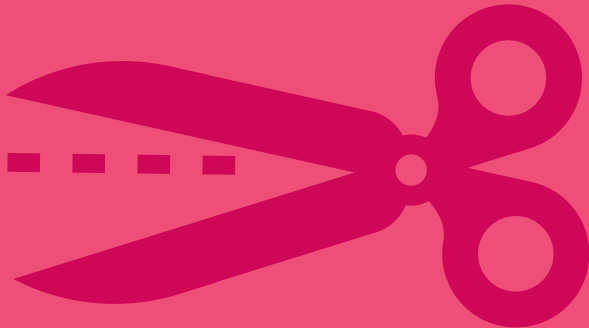
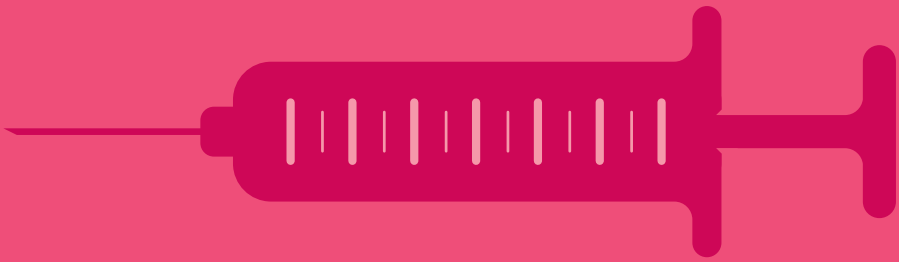
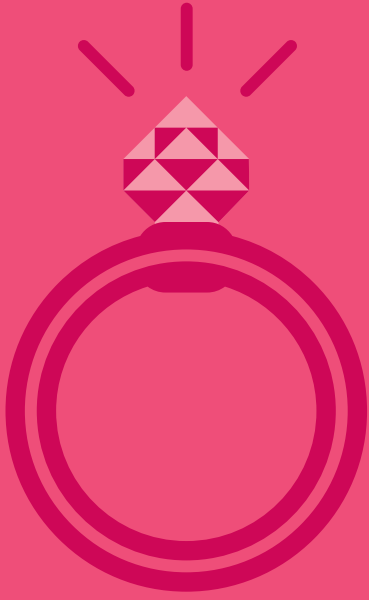
Ewa zamyka książkę Jolanty Brach-Czainy, obiecując sobie, że obowiązkowo musi kiedyś przeczytać esej *Powaga ścierek*. Jeszcze tylko pozbiera papiery, które rozsypała wokół biurka, i – do roboty. Cóż, że nieopłaconej.

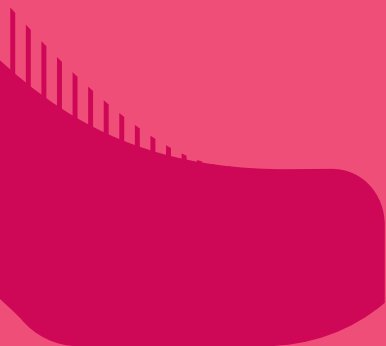
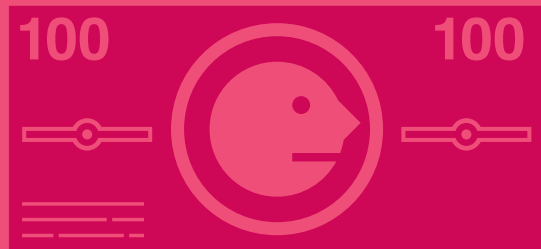
Na wyrwanej z kobiecego pisma kartce czyta: „Mamy macicę i afirmujemy ją, do cholery, zamiast doprawiać sobie fallusy”. Ewa nawet nie zdążyła westchnąć: „święte słowa”... „Gdyby faceci rodzili, urlop w czasie ciąży byłby obowiązkowy i płatny 200 proc., za każdy skurcz porodowy należałaby się niemała renta i przywileje nie mniejsze niż kombatanckie. Tymczasem to my rodzimy – i jeszcze jedna drugiej to wypominamy. (...) Feminizm musi temu ciału zrobić miejsce w społeczeństwie – na równych zasadach”.

Układając w głowie po raz kolejny „plan działania na dziś”, Ewa zastanawia się, czy człowiek bez macicy jest w stanie urządzić państwo tak, by kobietom żyło się w nim łatwiej.

B I B L I O G R A F I A :

-
- Elżbieta Adamiak**, *Milcząca obecność. O roli kobiety w Kościele*, Biblioteka Więzi, Warszawa 1999.
- Halina Bortnowska**, *Anioły in vitro*, „Gazeta Wyborcza”, 4–5.01.2008.
- Jolanta Brach-Czaina**, *Szczeliny istnienia*, wyd. eFka, Kraków 2006.
- Henryk Domański**, *Zadowolony niewolnik idzie do pracy: postawy wobec aktywności zawodowej kobiet w 23 krajach*, wyd. IFiS PAN, Warszawa 1999.
- Danuta Duch-Krzystoszek, Natalia Sarata**, *Praca*, w: *Polityka równości płci. Polska 2007 – raport*, wyd. Fundacja „Fundusz Współpracy”, Warszawa 2007.
- Kinga Dunin**, *Emerytura*, „Wysokie Obcasy”, 2.10.2010.
- Agnieszka Graff**, *Parytety to za mało – czyli co z tą opieką?* (wystąpienie na Kongresie Kobiet, 18 czerwca 2010), „Gazeta Wyborcza”, 26–27.06.2010.
- Kobieta nie jest jak mężczyzna* – z prof. **Moniką Płatek** rozmawia **Miłada Jędrzyk**, „Gazeta Wyborcza”, 6–7.11.2010.
- Listy**: „Wysokie Obcasy” z 24.07.2010, 14.08.2010, 18.09.2010, 25.09.2010, 9.10.2010.
- Eliza Orzeszkowa**, *Kilka słów o kobietach*, nakł. S. Lewentala, Warszawa 1893.
- Wypowiedź **prof. Magdaleny Środy**, w: *Rozmowy Agnieszki Kublik*, <http://www.wyborcza.pl>, 7.12.2010.
- Anna Titkow, Danuta Duch-Krzystoszek, Bogusława Budrowska**, *Nieodpłatna praca kobiet. Mity, realia, perspektywy*, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2004.
- Anna Titkow, Danuta Duch-Krzystoszek**, *Niejednoznaczny status pracy domowej kobiet*, w: *Kobiety dla Polski, Polska dla kobiet. 20 lat transformacji 1989–2009 – raport*, wyd. Fundacja Feminoteka, Warszawa 2009.





5

*Ewa w kwiecie
wieku*

Ewa ma czterdzieści dwa lata. Mąż – bankowiec – właśnie stracił pracę; jego firma zaczęła ciąć koszty zaraz na początku kryzysu gospodarczego. Wychowują trójkę dzieci: starszy syn kończy gimnazjum, córka i młodszy syn są w szkole podstawowej.

Mimo kryzysu Ewa, menedżer służby zdrowia, o utratę pracy bać się nie musiała. Pytanie było inne: jak utrzymać pięcioosobową rodzinę za 2 tys. złotych z małym kawałkiem, które Ewie udaje się zarobić w publicznym szpitalu.

Mąż się starał, przynajmniej na początku. Pilnował starszego syna, by odrabiał zadania, czasami nawet młodsze dzieci odprowadzał do szkoły. Zrobił zakupy, pamiętał o włączeniu pralki, poszedł na pocztę zapłacić rachunki. Wtedy wysłał jeszcze CV i chodził na rozmowy kwalifikacyjne, choć z bólem, bo jak to? On, doświadczony pracownik z wieloletnim stażem, ma się umawiać na rozmowy o pracę?

Dla Ewy to byłaby rzecz naturalna. Gdy odeszła z wydawnictwa medycznego, odbyła szereg rozmów, wysłała mnóstwo CV. W nowej pracy zaczynała od najniższego szczebla i równie niskich zarobków. Systematycznie awansowała; po dziewięciu latach od rozpoczęcia pisania udało jej się wreszcie dokończyć pisanie doktoratu. Najmłodsze dziecko szło właśnie do zerówki. A potem zdecydowała się zmienić pracę i znowu rozesłała CV...

Jak bardzo Adama przerasta cała sytuacja, przekonała się, gdy pewnego dnia po przyjściu z pracy otworzyła lodówkę i zauważyła na półkach tylko dwa jajka, zwiędniętą natkę pietruszki i napoczęty dżem. Adam chodził zgnębiony, więc nic nie mówiąc, poszła po zakupy. Potem okazało się, że Adam przez cały dzień bycia w domu nie znajduje czasu ani na sprzątanie, ani pranie, ani nawet na wyniesienie śmieci, które w pokaznej części składały się z puszek po piwie.

Najpierw myślała, że jest wykończony „wyścigiem z młokosami”, jak nazywał konieczność stawania w szranki z osobami kilkanaście lat od siebie młodszymi. Kiedy jednak kilka dni z rzędu zastawała go przed telewizorem albo przed komputerem rozgryzającego tajniki którejs z gier komputerowych syna, doszła do wniosku, że czas na poważną rozmowę. Jej Adam za bardzo bowiem zaczął przypominać statystycznego mężczyznę zwolnionego z pracy.

A „prawda statystyczna” jest taka, że większość bezrobotnych mężczyzn staje się jeszcze bardziej bezrobotna: nie angażuje się w prace domowe, z czasem rezygnuje ze starań o znalezienie zatrudnienia. Poddaje się łatwiej niż kobiety w podobnej sytuacji.

fakt



Adam nie jest jedyny. Ostatni światowy kryzys gospodarczy pokazał, że kobietom łatwiej ocalić miejsce pracy albo znaleźć kolejne zatrudnienie, jeśli padły ofiarą cięć oszczędnościowych. Według danych firmy Accenture, zebranych pod koniec 2009 roku od menedżerów z całego świata, ofiarą zwolnień padali przede wszystkim mężczyźni: we Francji 71 proc. nowych bezrobotnych stanowili właśnie oni, w Szwajcarii – 69, w Indiach – 95.

Również w Polsce między 2008 a 2009 rokiem, gdy pojawiły się widoczne skutki spowolnienia rozwoju gospodarczego, stopa bezrobocia mężczyzn wzrosła bardziej niż kobiet. Kobiety poradziły sobie lepiej, ponieważ z reguły zatrudniane są w sektorach mniej zależnych od sytuacji na rynku pracy, na przykład w szkolnictwie czy służbie zdrowia, oraz mniej zarabiają, więc ich zwolnienie nie przyniosłoby znaczących oszczędności.

Co równie ważne, mimo poważnych barier, z jakimi kobiety muszą się borykać, i to od momentu starania się o pracę (mniej ofert, pytania o ciężę przy rekrutacji), to właśnie one radzą sobie z kryzysem o wiele sprawniej niż mężczyźni.

Lepiej radzą sobie ze stresem, w zagrożeniu dostrzegają szansę na zmianę. Potrafią pracować w zespole.

KORZYŚĆ

Z jakiegoś przecież powodu Muhammad Yunus, założyciel Grameen Banku, specjalizującego się w udzielaniu mikropożyczek ubogim, i laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 2006 roku, uważa, że najlepiej udzielać kredytów kobietom. Z reguły chodzi o niewielkie sumy potrzebne na zakup maszyny do szycia lub słonecznej instalacji elektrycznej, czyli sprzętu, który pozwoliłby rozpocząć samodzielną działalność gospodarczą w mikrowymiarze. Z doświadczeń Yunusa wynika, że kobiety są bardziej przedsiębiorcze i odpowiedzialne, a przede wszystkim, co w systemie mikropożyczek opierającym się na systemie wzajemnych poręczeń nie jest bez znaczenia: kobiety nie boją się wspólnie brać odpowiedzialności za finansowe zobowiązanie jednej z nich.

Yunusowi opłaca się udzielanie mikropożyczek kobietom, bo są uczciwymi kredytobiorcami, spłacającymi swoje zobowiązania.



Polskim pracodawcom opłacałoby się zwiększenie liczby zatrudnionych kobiet.

Skoro, jak chce psycholog Barbara Korczyńska:

kobieta „jest przyzwyczajona, że na swoich barkach nosi wiele obowiązków. (...) swą mrówczą pracą będzie starała się zapewnić sobie bezpieczny poziom, potrzebny do stabilnego funkcjonowania również w życiu osobistym”,

KORZYŚĆ

to dlaczego kobiecej zaradności nie miałyby wykorzystać i finansowo docenić pracodawca? Tymczasem, jak przekonuje psycholożka: „mężczyzna z kredytem pracuje dla pieniędzy, prestiżu i bardziej angażuje się w osiąganie własnych celów. (...) [Kobietom] często przypisuje się brak chęci do walki o sukces: gdy pod przedstawionym przez nas pomysłem podpisze się kolega, sądzimy, że nie ma o co kruszyć kopii – jesteśmy w stanie się wycofać, bo cenniejsze jest dla nas dobro ogółu, dobra atmosfera”.

Według raportu Komisji Europejskiej z grudnia 2009 roku w ciągu wcześniejszej dekady zatrudnienie kobiet w krajach Unii wzrosło o 7 proc., ale różnice między krajami członkowskimi są duże. W Polsce, według badania aktywności ekonomicznej ludności prowadzonego przez Główny Urząd Statystyczny w czwartym kwartale 2010 roku, wśród 16 mln pracujących było 7,2 mln kobiet (1,5 mln mniej niż mężczyzn). Kobiety stanowiły więc 45 proc. pracujących.

W tym samym czasie sektor publiczny, który w Polsce daje pracę tylko 26 proc. zatrudnionych, zatrudniał 60 proc. kobiet. Składały się na to właśnie nisko płatne posady w szkolnictwie, służbie zdrowia i pomocy społecznej. Tyle że przestrzegany w sektorze publicznym normowany czas pracy i charakterystyczna dla tych stanowisk stabilizacja zatrudnienia pozwalają kobietom godzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi, o co w sektorze prywatnym trudniej. Tam większość zatrudnionych – 60 proc. – to mężczyźni. Wśród osób pracujących na własny rachunek kobiety stanowią 35 proc., natomiast aż 62 proc. pań pomaga członkom rodziny prowadzącym własną działalność gospodarczą.

Wciąż obowiązuje wykaz prac, przede wszystkim w transporcie, których nie mogą podejmować kobiety. Na początku transformacji prof. Ewa Łętowska jako rzeczniczka praw obywatelskich występowała w obronie praw kobiety, której nie pozwalano zostać maszynistką elektrowozu. Sprawa zakończyła się pomyślnie i wydawało się, że wniosek, jaki z tego płynie, zostanie przyswojony: to kobieta i pracodawca powinni decydować o miejscu zatrudnienia. Takie rozwiązanie wydaje się najbardziej rozsądne: kobieta

fakt

poradzi sobie i jako górnik, i jako kierowca samochodu ciężarowego, jeżeli tylko przestrzega zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, tak jak musi sobie poradzić z dwunastogodzinnym dyżurem „na kasie” w hipermarkecie czy koniecznością samodzielnego rozładowania samochodu z towarem (takie nadużycia odnotowują inspekcje pracy). Co też ważne: ustawodawca nie powinien decydować za obywatela – w tym przypadku kobietę – uważając, że najlepiej wie, jaki zawód jest szkodliwy dla zdrowia.

Wciąż nie udało się wyeliminować dyskryminacji w dostępie do zatrudnienia i w miejscu pracy – kandydatki pyta się o stan rodzinny, plany macierzyńskie, możliwość zapewnienia opieki nad dziećmi. Takich pytań nie zadaje się mężczyznom. Szwankuje praktyka, bo przepisy prawa pracy od dawna takich posunięć zakazują.

Podobnie ścigane prawem jest molestowanie seksualne czy wykorzystywanie zależności służbowej. Potrzeba natomiast dobrych praktyk i szkoleń, które uświadomią dyskryminowanym ich prawa i możliwości obrony. Wagę problemu muszą sobie też uprzytomnić sami pracodawcy.

Sporo do życzenia pozostawia kwestia wyrównania wynagrodzeń między pracującymi kobietami a mężczyznami – w 2008 roku przeciętne zarobki brutto za godzinę pracy mężczyzn w krajach Unii Europejskiej były prawie 18 proc. wyższe niż kobiet. W Polsce różnica ta była niższa – 9,8 proc.

Relacja średnich godzinowych zarobków kobiet i mężczyzn kształtowała się na poziomie 87 proc., największa dysproporcja dotyczy osób z wykształceniem zasadniczym zawodowym, wśród których kobiety zarabiała średnio 68 proc. tego, co mężczyźni. Większe różnice obserwuje się w zawodach i branżach o wysokich przeciętnych wynagrodzeniach, niższe zaś przy pracach prostych.

Po wysokości dochodów łatwo się zorientować, jakie zawody w Polsce uważa się za „poważne”, bo wykonywane z reguły przez mężczyzn. Czy dzieje się tak dlatego, że z założenia praca zawodowa kobiet jest uważana za mniej ważną? Czy winne są stereotypy, rodem z PRL, że praca górnika jest więcej warta od pracy pielęgniarki, niezależnie od kwalifikacji tej drugiej? A może chodzi o siłę oddziaływania związków zawodowych różnych grup społecznych? Wszystko po trochu składa się na sytuację, że kobiety zarabiają mniej od mężczyzn, nawet wówczas, gdy zajmują takie same stanowiska i mają zbliżony zakres obowiązków.

Wciąż brakuje mechanizmów, które kontrolowałyby przestrzeganie zasad równego traktowania kobiet i mężczyzn w miejscu pracy.

Dlatego każde pokolenie powiela schemat, który opisała poetka Julia Hartwig w wierszu *Oda feministyczna*:

*(...) wszystko trwa nadal jak przed setkami lat.
I o tych młodych, hardych i energicznych,
które piszą wzorowe rozprawy budząc podziw swoich kochanków
i czytelników, ale nawet osiągnąwszy pewne honory
zdobywają tyle tylko ile należy się ich płci.*



Poważna rozmowa Ewy z Adamem zakończyła się postanowieniem zorganizowania własnej firmy – prywatnego zakładu opieki zdrowotnej. I to niekoniecznie w Wielkim Mieście. Poważnie myślą, czy nie wyprowadzić się gdzieś na prowincję, gdzie koszty życia są niższe, a konkurencja na rynku usług medycznych słabsza. Podpisując kontrakty z Narodowym Funduszem Zdrowia, mogliby zapewniać opiekę zdrowotną wszystkim ubezpieczonym. Wykorzystując kontakty Ewy z klinikami, mogliby też przejmować część nieskomplikowanych operacji, na które w dużych szpitalach pacjenci czekają miesiącami. Do tego doszłyby usługi medyczne, za które pacjenci płaciliby z własnej kieszeni.

Adam jeszcze tego samego wieczoru zaczął rozpisywać biznesplan. Tym sposobem Ewa i Adam rozpoczęli na prowincji „drugą młodość”. Nie bez oporów dzieci, dla których, przynajmniej na początku, było to prawie „zesłanie na wieś”.

Ewa poszła drogą, którą przed nią wybrało wiele innych kobiet wykształconych i świadomych swoich praw. W Polsce w wielu przypadkach założenie i prowadzenie własnej firmy jest łatwiejsze niż przebijanie się przez „szklany sufit”, blokujący kobietom dostęp do stanowisk i wyższych zarobków, czy inne praktyki dyskryminacyjne.

W latach 1990–1997 tempo przyrostu firm zakładanych przez kobiety było wyraźnie wyższe niż w przypadku mężczyzn. W następnym dziesięcioleciu liczba kobiet, ale i mężczyzn, pracujących na własny rachunek malała, a udział kobiet wśród przedsiębiorców zmniejszył się z 37 proc. w 1998 roku do 35 proc. w 2008 roku. Wciąż jednak Polska ma stosunkowo wysokie wskaźniki udziału kobiet wśród osób pracujących na własny rachunek, jak i udziału samozatrudnionych wśród ogółu pracujących kobiet. Ten ostatni wskaźnik

kształtuje się na poziomie 14 proc., ale w 2000 roku był wyższy i wynosił blisko 18 proc. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego, w trzecim kwartale 2008 roku liczba kobiet pracujących na własny rachunek wynosiła 1024 tys. (łącznie z indywidualnym rolnictwem). W miastach takie osoby stanowią mniejszą grupę niż na wsi i dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Założenie własnej firmy nie oznacza, że znikają wszystkie bariery blokujące rozwój kariery. Pojawiają się inne, o charakterze ekonomicznym i niezależne od płci, ograniczające rozwój małych oraz średnich przedsiębiorstw w Polsce: niski popyt, duża konkurencja, wysokie koszty pracy, brak kapitału i ograniczony dostęp do źródeł finansowania. Przedsiębiorczość tak mężczyzn, jak i kobiet skutecznie ograniczają też wysokie podatki, nadmiar biurokracji, niejasne przepisy prawne, przede wszystkim dotyczące prawa podatkowego.

Na wysoką konkurencję i niejasne przepisy prawne uskarżają się jednak przede wszystkim kobiety. One również borykają się z barierami o charakterze kulturowym, wynikającymi z postrzegania ról kobiet i mężczyzn w społeczeństwie.

Zgodnie z patriarchalnymi wyobrażeniami i takim sposobem wychowywania w kobietach nie rozwija się ani poczucia własnej wartości, ani wiary w sukces. Kobiet nie wychowuje się na przywódców czy choćby menedżerów własnych firm, raczej na osoby, które muszą się dostosować i sprawnie wykonywać polecenia.

Trudno się więc dziwić, że wiele kobiet wciąż ma wątpliwości, czy prowadzenie własnej firmy jest na pewno „kobiecą drogą”. Obawia się też, czy samodzielną działalność gospodarczą uda się pogodzić z wychowaniem dzieci, bo dla wielu kobiet właśnie sukces wychowawczy, a nie biznesowy, jest najważniejszy. Tak je wychowano, taka jest presja społeczna, ale też nie ma co ukrywać, że „bizneswoman” trudniej niż kobietom pracującym na etacie pogodzić posiadanie dzieci z pracą. Między innymi dlatego, że nie mają prawa do urlopu wychowawczego. Jeśli słowo „równouprawnienie” w odniesieniu do rynku pracy wciąż wydaje się komuś mrzonką albo zawracaniem głowy,

***warto przypomnieć
wyliczenia Kevina Daly’ego, ekonomisty z Goldman Sachs,
który udowodnił, że gdyby wyrównać szanse kobiet na rynku
pracy, PKB krajów strefy euro wzrósłoby o 7 proc.***

A jak podkreśla Edwin Bendyk: „Włączenie kobiet do rządzenia światem to już nie jest jedynie kwestia przyzwoitości i respektu dla praw człowieka, to po prostu kwestia przetrwania i dalszego rozwoju”.



Ewa została, po raz pierwszy w życiu, szefową całego przedsięwzięcia. Podejmuje decyzje i sporo zarabia. Tyle że zaczęła patrzeć na kobiety nie jak na koleżanki z pracy, ale jak pracodawca, dla którego najważniejszy jest zysk. Własne rozczarowania i niedobre doświadczenia jakoś się oddaliły, gdy realne stały się zwolnienia i zastępstwa własnych pracowników.

Gdy kolejna pracownica przyniosła zwolnienie w pierwszych tygodniach ciąży, Ewa zaczęła Adamowi opowiadać przy kolacji, jakimi drogimi pracownikami potrafią być kobiety, jak nieodpowiedzialnymi i skupionymi na sobie.

„Najlepiej zatrudniać mężczyzn, co? Nie ma macicy, w ciążę nie zajdzie” – rzucił Adam złośliwie. „Już nie pamiętasz, jak przechodziłaś przez to samo?”.

Ewa momentalnie wróciła do pionu. Jak mantrę powtarzała kiedyś: elastyczne formy zatrudnienia, skrócony czas pracy, możliwość wykonywania zadań w domu, żłobek przy zakładzie pracy...

Właśnie – żłobek, od tego można byłoby zacząć. Od matek, które przychodzą do przychodni, ustawicznie słyszy o konieczności uruchomienia w ich Małym Mieście żłobka i jeszcze jednego przedszkola. Wystarczyłoby zaangażować lokalny samorząd i w sąsiedztwie przychodni otworzyć żłobek: jej pracownice miałyby blisko, resztę miejsc zajęłyby maluchy rodziców pracujących w innych miejscach. Może w Małym Mieście udałoby się, niczym w Szwecji czy Holandii, zapewnić żłobek nawet 40 proc. małych dzieci?

W całej Polsce ze żłobka korzysta zaledwie 2 proc. dzieci w odpowiednim wieku, dlatego trudno się dziwić, jeżeli rodzic, nie mogąc liczyć na taką instytucję, bo jej nie ma, korzysta z urlopu wychowawczego albo podrzuca dziecko babci na wcześniejszej emeryturze.

Ewa myśli pragmatycznie.

Na otwarciu żłobka wszyscy zyskają, także ona. Będzie miała w zespole ludzi spokojnych o swoje dzieci, ale też – być może – silniej związanych z miejscem pracy, bo na własnej skórze poczują, że nie są traktowani wyłącznie jako siła robocza, ale także jako rodzice.

Ewa ma też okazję przyjrzeć się kobietom z małych środowisk: to jej sąsiadki, bywa, że pacjentki przychodni. Naocznie przekonuje się, jak potrafią być zaradne i jak wielki kryją potencjał, choć nie prowadzą żadnej firmy, po prostu dbają o rodzinę. Tyle że same.

Podobne obserwacje mają socjolog badający polską biedę. Prof. Barbara Perepeczko, socjolog wsi, tak opisuje zaradność wiejskich gospodyń: „strzyżenie głów całej rodziny, niektóre szyją, robią na drutach, cerują, nie mówiąc o przetworach na zimę, co jest powszechne. W sytuacji zagrożenia zadłużonego gospodarstwa przez roszczenia banku zaradność pewnej gospodyni przekroczyła normy prawne, bo zajęła się ona produkcją alkoholu na sprzedaż, co skończyło się karą. Pracowitość, zaradność kobiet jest większa, gdy nauczyły się żyć z biedą od dzieciństwa. Poprzestawanie na małym, zgoda na takie życie w ubóstwie dotyczy większości, ale z nadzieją na inne dla dzieci. Poziom aspiracji wskazuje na to, że jest to życie ze świadomością ubóstwa, a nie »zanurzenie« życia w biedzie jako trwałej, tzn. obejmującej przyszłe pokolenia”.

fakt

Kobietom trudniej „wyłączyć się z życia”, jak zdarza się mężczyznom, którzy po utracie pracy wpadają w alkoholizm i stan ustawicznej pretensji do świata. Nie zmienia to faktu, że ubóstwo w dużej mierze dotyczy przede wszystkim kobiet, m.in. dlatego, że to one z reguły zarabiają mniej, a mają na utrzymaniu dzieci.

Prof. Elżbieta Tarkowska i Katarzyna Korzeniewska wyliczają też inne zjawiska składające się na tzw. feminizację ubóstwa: większe bezrobocie wśród kobiet niż mężczyzn, większe zagrożenie ubóstwem gospodarstw, których głową jest kobieta, na przykład samotnych matek czy kobiet po osiemdziesiątym roku życia (kobiety żyją dłużej i są średnio młodsze od partnerów, więc jest bardziej prawdopodobne, że w starszym wieku będą samotne), częstsze korzystanie przez kobiety z pomocy społecznej, większe obciążenie obowiązkami domowymi kobiet niż mężczyzn w gospodarstwach borykających się z ubóstwem.

Stratą nie tylko ekonomiczną, ale przede wszystkim społeczną jest pozostawienie tej kobiecej zaradności samej sobie.

Polskie kobiety, jak klientki Grameen Banku Yunusa, mogłyby prowadzić, dzięki mikropożyczkom, własną drobną działalność gospodarczą, zajmować się pracą chatupniczą albo współzakładać spółdzielnie oparte na zasadach ekonomii społecznej. Problemem jest brak kapitału – dla ubogich kobiet pozostaje on właściwie nieosiągalny.

Spożytkowanie tej energii, przede wszystkim z korzyścią dla samych kobiet i ich rodzin, nie będzie jednak możliwe bez merytorycznej pomocy z zewnątrz, na przykład ze strony instytucji pomocy społecznej czy organizacji pozarządowych. Tyle że w taki sposób o ubóstwie kobiet niewiele osób w Polsce myśli. Nie dokonuje się przeliczenia zmarnowanego kapitału ludzkiej pomysłowości i energii na PKB oraz na korzyści niematerialne, jakie odnieśli by wszyscy, nie tylko bezpośrednio taką zmianą zainteresowani.

KORZYŚĆ



Ewa podeszła do kasy z koszykiem pełnym zakupów. Kasjerka już miała zacząć wklepywać ceny produktów z wielkim wysiłkiem położonych przez Ewę na taśmie przy kasie, gdy nagle usłyszała za plecami: „Szefowo, ja tylko po dwie paczki marlboro”.

Kasjerka momentalnie przeniosła wzrok z zakupów Ewy, promiennie się uśmiechnęła i posłusznie skasowała dwie paczki.

„Zachowuje się, jakby wykonywała polecenie” – pomyślała Ewa, która nie pierwszy raz zauważyła, że niektóre panie przy kasie czy w okienku na poczcie mężczyznę, który „chce tylko...”, traktują priorytetowo. Niosąc zakupy do samochodu, Ewa próbowała całą sytuację rozebrać na części pierwsze – dociec, dlaczego kobiety zachowują się tak, jakby nie umiały powiedzieć „nie”.

W głowie Ewy kołatały się jeszcze zdania opowieści prof. Anny Titkow, socjolożki: „To jest najcenniejsze umieć powiedzieć »nie«, nawet jeżeli zupełnie nie ma się racji i robi się głupotę największą w życiu, ale ważne jest, żeby tego nie stłamsić – tej zdolności powiedzenia »nie«. Bo to wcale nie jest proste, być kobietą niezależną”.

No oczywiście, że nie jest proste! Bo dlaczego niby jej zaradne sąsiadki, które same wychowują po pięcioro czy sześcioro dzieci, utrzymują jeszcze pijącego i od lat niepracującego męża? Czy chodzi tylko o nauczanie „Kościoła parafialnego”, który krzywym okiem patrzy na rozwody?

Dlaczego pozwalają mężowi-tyranowi przez lata pomiatać sobą i dziećmi? Tu akurat łatwiej jej przyszło udzielenie kobietom rozgrzeszenia: dokąd miałyby pójść, szczególnie na prowincji, gdzie ze świecą szukać miejsc dla osób z dziećmi, które są ofiarami przemocy domowej? Tutaj nawet rozwód czasami niewiele daje, bo jeśli mąż nie ma się gdzie przeprowadzić po rozwodzie, to nadal trzeba dzielić z nim dom.

Wśród ofiar przemocy domowej jest nieporównywalnie więcej kobiet niż mężczyzn i borykają się z nią nie tylko kobiety ze wsi czy małych miast. Agata, lekarka z Wielkiego Miasta (ta sama, która na studiach obawiała się,

że jedyna kariera, jaka jest jej pisana, to internistka w ośrodku zdrowia na prowincji), przez dobrych kilka lat pozwalała się tłuc swojemu mężowi, też zresztą lekarzowi. Została ordynatorem oddziału w swoim szpitalu, a dalej chciała udawać, nawet przed Ewą, że kolejny raz spadła ze schodów. Kiedy się wreszcie rozwiodła, została z dziećmi sama. Z mieszkaniem, ale bez grosza alimentów. Mąż przezornie przepisał wszystko na rodziców, a jego prywatna praktyka lekarska była rzekomo wciąż tak niedochodowa, że komornik nie potrafił ściągnąć dla dzieci Agaty alimentów.

„Alimentary” to też przede wszystkim kobiety.

Dalej: prezydent Olsztyna, który molestował swoje pracownice. To już sprawa z mediów, ale Ewę do dzisiaj trzęsie, gdy sobie to przypomni. W referendum w sprawie odwołania prezydenta, przeprowadzonym w listopadzie 2008 roku po tym, gdy ujawniono, że molestował on podległe sobie urzędniczki, uczestniczyło niewiele ponad 30 proc. mieszkańców. Z tego 3/5 osób głosowało za odwołaniem prezydenta obciążonego takimi podejrzeniami, a 2/5 było temu przeciwnych. Kobiety też znalazły się w gronie przeciwników odwołania prezydenta, a właściwie można byłoby zapytać, co one tam robiły? Czy ten sprzeciw wynikał z poczucia podrzędności i lęku przed stawianiem jakiegokolwiek oporu, jakby wiedziały, że w takiej sytuacji znikąd nadziei, bo wszelka próba oporu zakończy się tym, że będzie jeszcze gorzej? Tak się zachowują kobiety – ofiary przemocy domowej, które nie zgłaszają przestępstwa, bo nie wierzą, że to coś zmieni.

Ewa pamięta też jeszcze jedno: oburzenie, z jakim spotkały się wyznania Anety Krawczyk, także ze strony kobiet, gdy w grudniu 2006 roku zdecydowała się ujawnić, że płaciła seksem za pracę w Samoobronie.

A gdyby tak przenieść rozważania Ewy sprzed okienka czy lady na inny poziom refleksji i zastanowić się, dlaczego w Polsce nie monitoruje się wydawania publicznych pieniędzy pod kątem płci, która korzysta z danej inwestycji? Dlaczego na pewnych obszarach panowie są puszczani przodem? Powstają „orliki” do gry w piłkę nożną, a co dla kobiet? Jaka część budżetu państwa jest przeznaczana na potrzeby i realizację aspiracji mężczyzn, a jaka kobiet?

Skoro kobiety w stopniu porównywalnym do mężczyzn wytwarzają dochód, a prowadząc gospodarstwo domowe, podejmują większość decyzji konsumenckich, to przy kształtowaniu budżetu państwa powinno się jasno określić, w jaki sposób rządy generują przychody, jak wydają publiczne pieniądze oraz jaki to ma wpływ na położenie kobiet i mężczyzn.

W Polsce do takiej praktyki wciąż daleko. W efekcie nasz budżet nie jest wrażliwy na kwestie płci ani poddawany społecznej dyskusji, a także nie uwzględnia nieodpłatnych usług świadczonych na rzecz gospodarstwa domowego i rodziny, co obniża PKB i wskaźniki wzrostu gospodarczego o wkład kobiet w rozwój ekonomiczny kraju.

Wiedza tak uzyskana byłaby narzędziem kształtowania wydatków w sposób, który wyrównuje nierówności między płciami. Pozwoliłaby ona uświadomić społeczeństwu, jaki wpływ na życie rodzin, w tym obciążenie obowiązkami domowo-opiekuńczymi kobiet, mają na przykład cięcia wydatków budżetowych na żłobki, przedszkola lub placówki dla osób starszych czy niepełnosprawnych.

Ten sam mechanizm z powodzeniem sprawdzi się także na szczeblu lokalnym. Miejscowe radne czy sołtyski z większym wyczuciem potrafią ocenić, czy w gminie potrzebne są boisko, chodnik przy drodze czy powiększenie przedszkola.



Wiele lat temu prof. Wiktor Osiatyński, konstytucjonalista, podczas zajęć w więzieniu dla kobiet poprosił, by słuchaczki opisały sytuacje, w których czuły, że naruszano ich prawa. Profesor spodziewał się przykładów z kontaktów kobiet z policją, prokuraturą, sądem, władzami więzienia albo innymi instytucjami państwowego przymusu. „Ku memu zaskoczeniu, kiedy dostałem pierwsze trzydzieści prac domowych, okazało się, że tym, kto je poniżał, zawsze był bliski mężczyzna: mąż, brat, ojciec”.

Może właśnie stąd m.in. biorą się kobieca niepewność i brak wiary w siebie? Jeżeli ktoś od dziecka jest deprecjonowany, uczony przede wszystkim posłuszeństwa, to trudno, by jako dorosła osoba potrafił bronić swoich racji i potrzeb.

Łatwo zastanawiać się nad przyczynami, trudniej cokolwiek zmienić. Ewa przekonała się o tym, gdy pacjentka zwierzyła się jednej z lekarek w jej przychodni, że została zgwałcona. Ewa, usiłując pomóc kobiecie, chciała sama złożyć doniesienie na policji. Okazało się, że to niemożliwe – gwałtu nie można ścigać z oskarżenia publicznego, zgwałcona musi osobiście, przed obcymi ludźmi (z reguły mężczyznami), na komendzie, opowiedzieć o tym, co się stało. Poza tym w Małym Mieście rzecz rozniósłaby się w mig...

Te same trudności pojawiłyby się, gdyby kobieta chciała zgłosić molestowanie seksualne. „Te przepisy musiał stworzyć jakiś facet” – myślała Ewa ze złością, gdy wracała z komisariatu i prawdopodobnie ma rację. Do podobnych wniosków doszła prof. Monika Płatek:

„Prawo jest napisane i interpretowane z punktu widzenia mężczyzny”.

Wymienia też potwierdzające to przykłady: prawo przyzwala na współżycie z dzieckiem od piętnastego roku życia, ale do skończenia osiemnastu lat nie zapewnia mu odpowiedniej ochrony prawnej i zdrowotnej. Dziewczynki mogą być używane do seksu, ale nie mogą pójść same do ginekologa i poprosić o środki antykoncepcyjne; jeśli zostałyby zgwałcone, nie mogą samodzielnie złożyć doniesienia, bo są niepełnoletnie. Kiedy zajądą w ciążę, ich matki są karane za to, że kierując się dobrem dziecka, doradzają aborcję. Jeżeli bita latami kobieta zabije swojego oprawcę, gdy ten śpi, a nie na przykład podczas awantury, nie skorzysta z klauzuli obrony koniecznej, bo zdaniem ustawodawcy może mieć ona zastosowanie wyłącznie w sytuacji zamachu bezpośredniego.

Cesare Beccaria i Monteskiusz pisali, że prawo dba o interes tych, którzy je tworzą, a w polskim parlamencie od lat w przytłaczającej większości zasiadają mężczyźni. W takiej sytuacji wniosek prof. Płatek, że „nasze państwo jest nieprzyjazne kobietom”, nie powinien dziwić.



Wieczorem Ewa usiłowała opowiedzieć o wszystkim Adamowi. Mąż słuchał, ale wydawał się nie rozumieć, o co jej chodzi. „Przecież zawsze tak było” – powiedział i zagrzebał się w papiery. „A, zapomniałbym, kupiłem ci książkę”.

Grzeczne dziewczynki idą do nieba, niegrzeczne tam, gdzie chcą – przeczytała Ewa na okładce. Adam nie miał pojęcia, o czym jest książka. Kupił ją, bo spodobał mu się tytuł.

B I B L I O G R A F I A :

Edwin Bendyk, *Zmiana płci*, „Polityka”, 16.10.2010.

Grażyna Dobroń, *Instrukcja samoobstugi człowieka*, Czarna Owca, Warszawa 2010.

Danuta Duch-Krzystoszek, **Natalia Sarata**, *Praca*, w: *Polityka równości płci. Polska 2007 – raport*, wyd. Fundacja „Fundusz Współpracy”, Warszawa 2007.

Ute Ehrhardt, *Grzeczne dziewczynki idą do nieba, niegrzeczne tam, gdzie chcą*, tłum. Krystyna Bratkowska, Natalia Szymańska, Szafa, Warszawa 2010.

Główny Urząd Statystyczny, dane: badania aktywności ekonomicznej ludności z czwartego kwartału 2010 roku.

Julia Hartwig, *Oda feministyczna*, „Wysokie Obcasy”, 16.02.2002.

„Kobieta nie jest jak mężczyzna” – z **Moniką Płatek** rozmawia **Milada Jędrzyk**, „Gazeta Wyborcza”, 6–7.11.2010.

Magdalena Kocińska, *Kobieta pracująca*, „Polityka”, 20.02.2010.

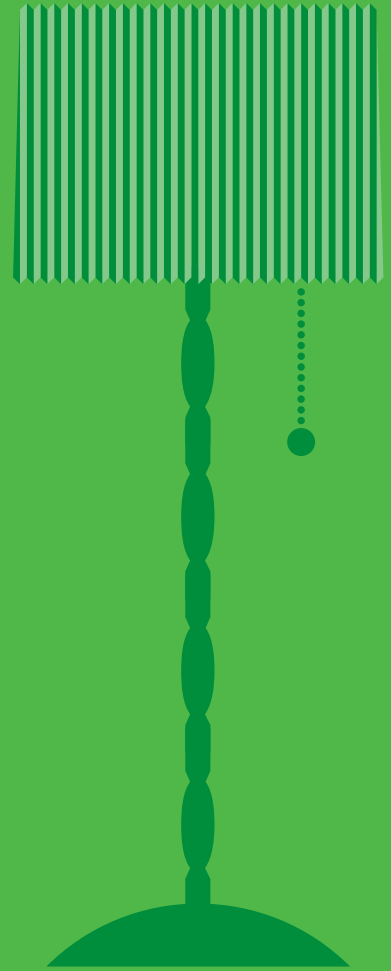
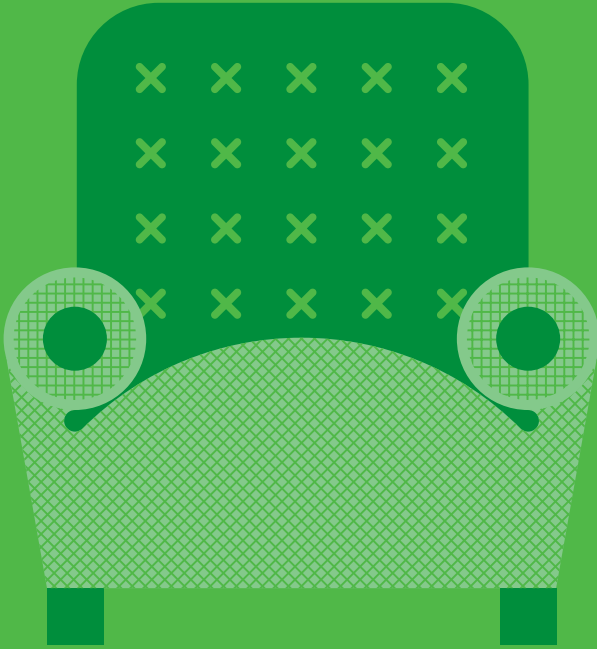
Katarzyna Korzeniewska, **Elżbieta Tarkowska**, *Spojrzenia na biedę: wprowadzenie*, w: Katarzyna Korzeniewska, Elżbieta Tarkowska (red.), *Lata tłuste, lata chude... Spojrzenia na biedę w społecznościach lokalnych*, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2002.

Ewa Lisowska, **Janina Sawicka**, *Kobiety i gospodarka*, w: *Kobiety dla Polski, Polska dla kobiet. 20 lat transformacji 1989–2009 – raport*, wyd. Fundacja Feminoteka, Warszawa 2009.

Wiktor Osiatyński, *Mniej testosteronu*, „Znak” 2005, nr 4.

Barbara Perepeczko, *Swoistość biedy w rodzinach rolniczych i jej osvajanie*, w: Elżbieta Tarkowska (red.), *Przeciw biedzie. Programy, pomysły, inicjatywy*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2002.

Anna Titkow, *Poza fasadą*, w: Sławomira Walczewska (red.), *Feministki – własnym głosem o sobie*, wyd. eFKa, Kraków 2005.





6

Ewa na emeryturze

Ewa wcale nie chciała iść na emeryturę. Z pracy była zadowolona, miała w niej sprawdzonych przyjaciół, czuła się potrzebna, zarabiała. I wcale nie spodziewała się, że jej firma pożegna się z nią, jak tylko osiągnie wiek emerytalny. Przecież miała ledwie sześćdziesiąt lat i mogła jeszcze trochę jej służyć swoim doświadczeniem. Owszem, słyszała, że silna jest tendencja do wypychania emerytów, a nawet ludzi jeszcze w wieku przedemerytalnym, z rynku pracy, szczególnie w czasie gorszej koniunktury. I że dotyczy to przede wszystkim kobiet, choćby z tej racji, że można je zwolnić już w wieku sześćdziesięciu lat, a mężczyźni dopiero, gdy skończą sześćdziesiąt pięć. Na niekorzyść kobiet działa też ochrona pracownika przed zwolnieniem na cztery lata przed osiągnięciem wieku emerytalnego, co w praktyce oznacza, że pracodawcy niechętnie zatrudniają nawet te kobiety, które dopiero co skończyły pięćdziesiąty rok życia.

Ewa wiedziała jednak, że osoby z doświadczeniem – chociażby główne księgowy czy menedżerki – zwykle są szanowane. W grę wchodzi przecież ich profesjonalizm i to, że dużo wiedzą o kulisach funkcjonowania firmy. Sądziła więc, że jej zakład też ceni ją za lata nienagannej pracy tak bardzo, że zachowa się fair i nie skorzysta z możliwości wypchnięcia jej na emeryturę.

Ale młoda, na oko nie więcej niż trzydziestoletnia, menedżer działu human resources chłodno wypełniła swą powinność. Podczas ostatniej rozmowy rzuciła tylko: – Najwyżej pomoże pani córce wychowywać dzieci.

Ewa pożałowała, że kilka lat wcześniej sprzedała założoną przez siebie prywatną przychodnię. Chciała odmiany. No to ma!

– Mogła dodać, że powinnam jeszcze zająć się swoją mamą, która dobiega dziewięćdziesiątki – pomyślała Ewa z przekąsem, ale i oczywistą złością. Jednak po wyjściu od kadrowej nie udało się jej powstrzymać płaczu.



W Polsce w grupie osób w wieku pięćdziesięciu pięciu–sześćdziesięciu czterech lat pracuje ledwie co trzecia; w przypadku kobiet proporcje są jeszcze gorsze, co wynika m.in. z ich niższego wieku emerytalnego.

Zjawisko wypychania z rynku pracy osób w wieku przedemerytalnym dotyczy w jednakowym stopniu obu płci, jednak kobiety odchodzą z rynku pracy w znacznie niższym wieku: ich aktywność zawodowa, a z nią stopa zatrudnienia, załamują się już po czterdziestym roku życia (sic!). Choć jednak długość życia systematycznie rośnie, ludzie nie pracują dłużej niż kiedyś. Stopa aktywności zawodowej kobiet między pięćdziesiątym piątym a sześćdziesiątym czwartym rokiem życia spadła z 30 proc. w 1997 roku do nieco ponad 20 proc. dekadę później. Wpływ na to miało korzystanie z tzw. wcześniejszych emerytur

(zlikwidowanych po 2008 roku), ale również rent z tytułu niezdolności do pracy. Znamienne, że poziom aktywności zawodowej mężczyzn w tym wieku jest dwukrotnie wyższy.

Osobną kwestią jest olbrzymie w Polsce zapotrzebowanie na opiekę – zarówno nad dziećmi, jak i osobami starszymi – przy małej dostępności instytucji mogących świadczyć usługi opiekuńcze. Co istotne: wraz z prognozowanym starzeniem się ludności radykalnie wzrośnie wkrótce zapotrzebowanie na opiekę nad osobami w podeszłym wieku.

Autorki raportu *Między domem a pracą – rekomendacje* pokazały, że potrzeba opieki nad innymi członkami rodziny występuje w ponad 1/3 polskich gospodarstw domowych; w 4/5 gospodarstw starszymi osobami zajmuje się wyłącznie rodzina. Wsparcie instytucjonalne jest zatem znikome – na wsi praktycznie nie istnieje. Znamienne jest i to, że „w rodzinach istnieje wyraźny podział obowiązków: opieka domowa to domena kobiet, które nie tylko częściej ją sprawują, lecz także poświęcają jej o wiele więcej czasu – średnio 36,6 godzin tygodniowo (mężczyźni prawie dwa razy mniej)”. Zaś kobiety w wieku okołoemerytalnym należą do grup często podejmujących się takiej roli.

Badania dowodzą również, że „osoby pracujące, które opiekują się dziećmi, częściej korzystają z pomocy krewnych, choć wolałyby zapewnić opiekę w odpowiednich placówkach (żłobkach, przedszkolach)”. Spośród dzieci do lat trzech do żłobków uczęszcza 2 proc. dzieci – to najniższy odsetek w krajach Unii Europejskiej. Z przedszkoli korzysta ledwie 60 proc. dzieci od lat trzech do wieku szkolnego. Tymczasem dyrektywy unijne zalecają, by wskaźniki te sięgały odpowiednio 33 i 90 proc. Przedszkola czy żłobki okazują się albo za drogie, albo zbyt odległe. W efekcie w 3/4 gospodarstw domowych z małymi dziećmi opieka nad nimi sprawowana jest przez samą rodzinę, z reguły przez babcię.

Niski odsetek dzieci korzystających z opieki przedszkolnej i zastępowanie jej przez członków rodziny odbija się na wynikach dzieci w nauce, a często również na ich zdolnościach funkcjonowania w grupie, także w społeczeństwie.

KORZYŚĆ

Równocześnie badani w wieku okołoemerytalnym, którzy wycofali się – bądź „zostali wycofani” przez pracodawców – z rynku pracy, jako główne powody wymieniają brak pracy (a więc i zwolnienia) oraz stan zdrowia. Dopiero w dalszej kolejności zwracają uwagę na obowiązki rodzinne (wspomina o tym 20 proc. kobiet). Socjologowie sugerują jednak, że w rzeczywistości motyw „konieczności albo chęci” zapewnienia opieki najbliższemu (wnukom, rodzicom) może być istotniejszy, niż to wynika z deklaracji sondażowych.

„Kobiety w wieku pięćdziesięciu–pięćdziesięciu dziewięciu lat, które opiekują się wnukami lub dorosłymi członkami rodziny, nieco częściej korzystają z emerytury lub renty niż kobiety ogółem w tym wieku. Czas, który formalnie należy do wieku produkcyjnego, zostaje zatem przeznaczony na funkcje opiekuńcze”.

Tak czy tak, niższa aktywność zawodowa kobiet w jakimś stopniu wynika właśnie z faktu, że standardem nie jest (a często: nie może być) korzystanie z usług instytucjonalnych form opieki nad dziećmi i osobami w podeszłym wieku.

Równocześnie znamienne jest, że niewielki odsetek emerytów wraca do pracy zawodowej. Po prostu: kiedy już znajdują się na tym etapie życia, zwykle siłą rzeczy jakoś inaczej je sobie organizują. Nie znaczy to jednak, że chcieli przejść na emeryturę (nie bez powodu blisko 9 proc. kobiet na emeryturze wciąż jednak próbuje – choćby w mniejszym wymiarze – pracować). Wniosek jest prosty:

całkiem spora liczba kobiet po pięćdziesiątym piątym roku życia mogłaby nadal być aktywna zawodowo.

Zamiast wypychać takie osoby z rynku pracy, należy je zatrzymywać – wydaje się to wręcz koniecznością. Wobec systematycznego obniżania się odsetka ludności aktywnej zawodowo (na skutek starzenia się populacji, małej liczby urodzeń oraz właśnie: wypychania z rynku pracy osób w wieku okołoemerytalnym) już niedługo może w Polsce brakować nie tylko rąk do pracy, ale też środków na wypłatę świadczeń rosnącej grupie emerytów.

Nie ma więc innego wyjścia niż podwyższenie i zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn.

Jak przekonuje przy tym prof. Irena E. Kotowska, demograf, mitem jest twierdzenie, że starsi pracownicy zabierają pracę młodym: „Obie te grupy mają różne kwalifikacje i doświadczenia zawodowe. Osoba młoda, bez doświadczenia, nie zajmie z dnia na dzień etatu osoby z 30-letnim stażem pracy”. Porównanie danych z wielu krajów wskazuje ponadto, że w państwach z wyższą stopą zatrudnienia osób starszych również więcej młodych ludzi pracuje.

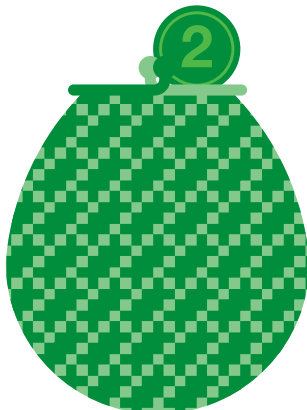
Zwalnianie doświadczonych pracowników – w tym zwłaszcza kobiet, bo to je najłatwiej można dziś „wypchnąć” na emeryturę – na rzecz świeżo upieczonych może też być nieopłacalne dla pracodawców.

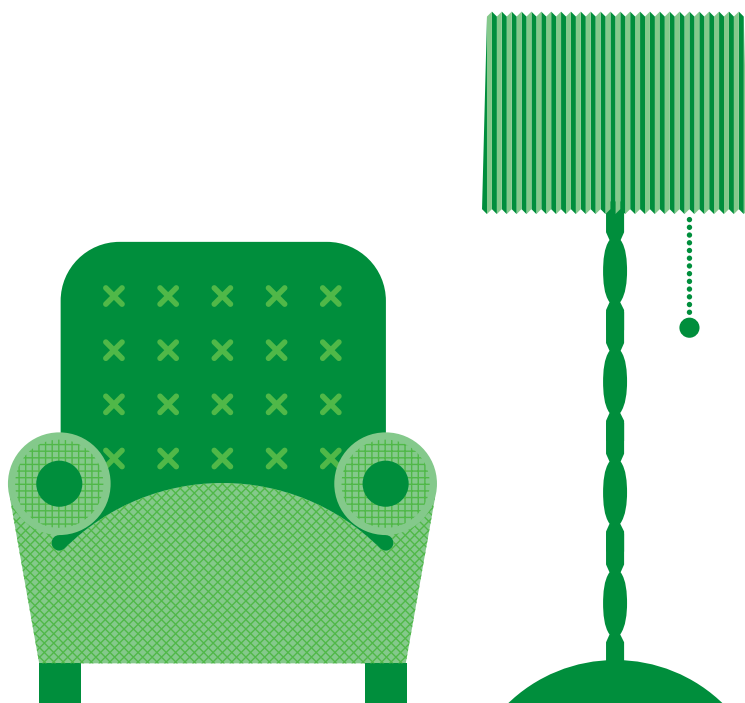
Nawet jeśli nie jest konieczne przyuczanie „nowych” do wykonywania zawodu, trzeba poświęcić nieco czasu na wdrożenie ich w firmowe procedury i zwyczaje. Nawyki mają bowiem złe strony (mogą hamować innowacyjność, sprzyjają utrwalaniu się układów towarzyskich), ale mają i zalety – mimo wszystko gwarantują w miarę sprawne działanie skomplikowanego mechanizmu, jakim jest każda firma. Podobnie bywa z relacjami między ludźmi w zakładzie pracy.

Równocześnie muszą zostać stworzone szersze możliwości uaktualniania kwalifikacji, nawet przez doświadczonych pracowników – tzw. kształcenia ustawicznego, choćby dzięki wprowadzeniu bonu edukacyjnego, który umożliwiłby osobom starszym naukę na wybranych kursach i szkoleniach zawodowych.

Obecnie mniej niż 1 proc. Polaków w wieku pięćdziesięciu pięciu–sześćdziesięciu czterech lat bierze udział w szkoleniach, podczas gdy średnia unijna jest pięć razy wyższa.

Na szczęście u wielu menedżerów powoli zanika silna na początku transformacji bezkrytyczna fascynacja młodymi pracownikami, nieskażonymi – jak wtedy argumentowano – złymi nawykami epoki gospodarki planowej. Okazało się, że mają oni inne złe nawyki, na przykład kandydaci na pracowników mają już na starcie, niewiele umiając i wiedząc, dużo wyższe oczekiwania finansowe niż ci, którzy są z firmą związani od lat.





Zreformowany system emerytalny ograniczył dostęp do wcześniejszych emerytur i silniej powiązał ich wysokość z wiekiem przejścia na emeryturę. W przyszłości starsi Polacy i osoby z małymi dziećmi będą zatem mogli rzadziej liczyć na opiekę ze strony rodziny.

Aby zatrzymać na rynku pracy nie tylko młode, lecz także starsze kobiety, konieczna jest więc rozbudowa instytucji opiekuńczych: zarówno nad dziećmi, jak i osobami starszymi. Poprawa systemu opieki instytucjonalnej – konieczna zwłaszcza na najniższym, czyli gminnym, poziomie – będzie korzystna także dla samorządów: nie tylko ograniczy ubóstwo, ale też podwyższy poziom życia wszystkich mieszkańców. Gmina będzie mniej wydawać na pomoc społeczną, zwiększy natomiast wpływ z podatków.

KORZYŚĆ

Co istotne: w państwach zachodnich sfera usług polegających na opiece nad osobami starszymi – przynajmniej częściowo uzupełniająca wciąż dominującą w Polsce opiekę w ramach rodziny – staje się ważną i nadal rozwijającą się gałęzią gospodarki: daje miejsca pracy i spore zyski.

Ale pani Ola, przyjaciółka Ewy, choć nieco od niej młodsza, chciała zostać emerytką. Jej córka urodziła córeczkę, a pani Ola marzyła o wnukach.

Jest zresztą idealną babcią: wiecznie uśmiechnięta i cierpliwa, uwielbiająca dzieci, a też mająca spore doświadczenie, bo całe życie zawodowe spędziła z nimi – najpierw jako przedszkolanka, a potem wychowawczyni w pracowni plastycznej miejskiego domu kultury. No i świetnie gotuje.

Córka pani Oli rzeczywiście potrzebuje pomocy: wprawdzie nie musi – jak wiele jej rówieśnic po małżeńskich czy partnerskich przejściach – samotnie wychowywać dziecka, ale razem z mężem pracuje „w kulturze”, więc oboje często są zajęci wieczorami, bo do ich obowiązków należy m.in. organizacja rozmaitych wernisaży, wieczorów autorskich i podobnych imprez. Aby dorobić do niewysokich pensji (typowych dla sfery budżetowej), nie odrzucają „fuch” w postaci popołudniowych zajęć dodatkowych w szkołach. W takiej sytuacji nawet żłobek, a potem przedszkole nie wystarczają – bo kto miałby zajmować się dzieckiem wieczorami? Tylko babcia!

Tyle że pani Ola dostała właśnie z ZUS list z wyliczeniem, ile mniej więcej będzie wynosić jej emerytura. Przybiegła pokazać przerażona: „Jak za to można przeżyć?!”. ZUS tłumaczy, że przyszłe emerytury będą już z nowego systemu, w którym liczą się tylko nasze składki i wiek przejścia na emeryturę. W starym systemie, dotowanym przez państwo (a w gruncie rzeczy przez młodszych, pracujących współobywateli), emeryt dostawał średnio 65 proc. ostatniej pensji.

Obie panie słyszały, że jako kobiety mogą mieć najwięcej powodów do niepokoju o zabezpieczenie na starość. Już dziś mają średnio o 35 proc. mniejszą emeryturę od mężczyzn. Nie dość, że pracują krócej, to jeszcze często mniej zarabiają, z oczywistych względów częściej biorą urlopy wychowawcze (mają wówczas odprowadzaną niską składkę) i wreszcie czasami przez lata nie pracują zawodowo na etacie, bo opiekują się dziećmi czy zajmują prowadzeniem domu.

Ewa zwróciła przyjaciółce uwagę na listy z podobnymi historiami, jakie wydrukował jeden z dzienników.

Pani Maria, czterdzieści cztery lata: pracuje od marca 1991 roku, skończyła studia, nie była na urlopie wychowawczym, a przez wszystkie lata pracy zebrała 116 tys. złotych składek w ZUS, dodatkowo 178 tys. złotych kapitału początkowego – gdyby teraz przestała pracować i na emeryturę odeszła w wieku sześć-dziesięciu lat, dostałaby 1244 złote emerytury. Gdyby nadal odkładała składki w obecnej wysokości aż do sześćdziesiątki, jej emerytura wzrosłaby do 2161 złotych.

Pani Wioletta, trzydzieści siedem lat: przez siedemnaście lat pracy zebrała 62 tys. złotych składek w ZUS i 60 tys. złotych kapitału początkowego. Zakład wyliczył jej emeryturę w wysokości 522 złotych, gdyby w tym momencie zakończyła pracę. Jeśli będzie pracować do osiągnięcia wieku emerytalnego, może liczyć na 1193 złote.

Niewątpliwie największy szok przeżyją kobiety, które zarabiałby najlepiej, bo u nich różnica między ostatnią pensją a emeryturą będzie największa.

Pani Zofia, która jest prawnikiem w kancelarii na Dolnym Śląsku i zarabia 10 tys. złotych, właśnie dowiedziała się, że jej emerytura wyniesie 2100 złotych. Z kolei czterdziestopięcioletnia lekarka, pani Bożena, która obecnie zarabia 6,5 tys. złotych brutto, otrzyma emeryturę w wysokości 1900 złotych brutto.

Nastroju nie poprawią kobietom symulacje Ministerstwa Pracy, wedle których emerytury dzisiejszych dwudziesto-, trzydziesto- i czterdziesto-letnich kobiet – oszczędzających już w nowym systemie – będą nawet o 1/3 niższe od obecnych, jeśli nie zostanie podwyższony wiek emerytalny.

Złość Ewy i jej przyjaciółki budzi też porównanie wysokości emerytur między kobietami i mężczyznami.

Małżeństwo z Warszawy, oboje w wieku czterdziestu siedmiu lat i o identycznych zarobkach – powyżej 10 tys. złotych. Według ZUS żona otrzyma 2200 złotych emerytury, mąż – 3300 złotych. Skąd różnica? Kobiety pracują pięć lat krócej, poza tym wyliczenia emerytury zależą od średniej długości życia w Polsce. Otóż ZUS wysokość emerytury będzie obliczał, dzieląc sumę składek, którą zgromadziła osoba przechodząca na emeryturę, przez tzw. statystyczną dalszą długość życia (ustalaną z kolei przez Główny Urząd Statystyczny). Na zbliżonych zasadach będzie ustalana emerytura w części pochodzącej z Otwartych Funduszy Emerytalnych.

Skoro jednak kobiety statystycznie żyją dłużej niż mężczyźni, ich kapitał trzeba by dzielić przez większą liczbę lat. Paradoksalnie fakt, że żyją dłużej – chociażby dlatego, że rzadziej niż mężczyźni sięgają po używki – działałby na ich niekorzyść, jako że jeszcze bardziej obniżałby miesięczną emeryturę, którą przez te lata mają dostawać. Szczęśliwie jednak w przypadku obliczeń emerytury przyjmuje się – wbrew faktom, a na podstawie decyzji politycznej, by kobiety nie traciły jeszcze bardziej – jednakową dla kobiet i mężczyzn przewidywaną długość życia.

Ale pomysły dzielenia emerytur – nawet formalnie – wedle kryterium płci ciągle krążą. Rozwagały je choćby oba ostatnie rządy (zarówno koalicji PiS, LPR i Samoobrony, jak i PO oraz PSL). Argumentowano, że skoro kobiety żyją średnio o pięć lat dłużej niż mężczyźni, to dłużej trzeba im wypłacać emerytury. Sprawiedliwie więc będzie emerytury kobietom obciąć, a mężczyznom, którzy wcześniej umierają – podwyższyć. W ten sposób wszystko się wyrówna: Polka będzie dostawać mniej pieniędzy, ale dłużej, Polak więcej, ale krócej. Tyle że wtedy różnica między emeryturami mężczyzn i kobiet wzrosłaby o kolejne 15 proc. Emerytury kobiet byłyby wówczas niemal o połowę niższe niż mężczyzn – w wielu przypadkach po prostu głodowe.

Irena Wóycicka, ekonomistka, ostrzega: ewentualne ustalanie wysokości emerytur w zależności od płci spowoduje, że część kobiet nie wypracuje sobie nawet najniższej krajowej emerytury – konieczne więc będą dopłaty z budżetu państwa. Nie mówiąc już o kosztach społecznych, bo kobiety będą żyć w biedzie.

Mimo że plany te udało się na razie odłożyć, nie zmienia to kluczowej kwestii: generalnie niskich kobiecych emerytur. Ewa i Ola znów przerzucają się przykładami.

Pani Agnieszka, kadrowa z Warszawy: uzbierała 400 tys. złotych, odejście na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat, a GUS wyliczy, że osoba w tym wieku będzie żyć jeszcze 247,3 miesiąca. ZUS podzieli więc owe 400 tys. przez 247,3, co da miesięczną emeryturę w wysokości 1617 złotych. W jeszcze gorszej sytuacji znajdzie się sześćdziesięcioletnia pani Beata, która uzbierała tylko 200 tys. złotych – dostanie ledwie... 808 złotych.

Państwo przewidziało wprowadzenie emerytury minimalne (obecnie wynoszą niewiele ponad 700 złotych) dla osób z minimalnym stażem pracy. Dla mężczyzn wynosi on dwadzieścia pięć lat, dla kobiet – dwadzieścia lat. Jednak osoby z niższym stażem pracy, które nie uzbierają tyle, by z ZUS i OFE dostać godziwą emeryturę, nawet jeśli z wyliczeń będą miały emeryturę w wysokości zaledwie 200–300 złotych, na tym będą musiały poprzestać, bo nie nabędą prawa do uzupełnienia tej kwoty z budżetu do poziomu emerytury minimalnej. Tyle że kobiety mają krótszy staż pracy – wszak wiele z nich wykonuje „nieodpłatną pracę” w domu i w rodzinie, często też pracują na umowy zlecenia czy umowy o dzieło, które jednak nie są wliczane do emerytury.

To dlatego tak ważne okazuje się zrównanie wieku emerytalnego obu płci.

Eksperci dowodzą, że każdy dodatkowy rok pracy w nowym systemie oznacza nawet o 7–10 proc. wyższą emeryturę. Osoby, które będą dłużej pracować, zyskają podwójnie. Po pierwsze, odłożą więcej kapitału. Po drugie, suma składek będzie dłużej waloryzowana. Po trzecie, ich kapitał będzie dzielony przez mniej miesięcy. To wszystko zapewni wyższą emeryturę.

KORZYŚĆ

fakt

Jeśli nie dojdzie do zrównania wieku emerytalnego, starsze kobiety coraz częściej skazane będą na pomoc (skądinąd nie bez powodu potocznie zwaną „garnuszkami”) dzieci czy innych członków rodziny – o ile oczywiście ich mają i o ile ci będą skłonni alimentować krewnych.

Nie trzeba dodawać, że nawet przy najlepiej funkcjonujących relacjach rodzinnych musi to być siłą rzeczy upokarzające dla osób, które przecież zwykle ciężko przepracowały całe życie i miały prawo przypuszczać, że coś jednak osiągnęły, choćby stabilność finansową. W przypadku kobiet samotnych lub odrzuconych przez rodzinę pomoc, tak czy tak, obciążą budżet państwa. Jeszcze inną kwestią będą rozmaite społeczne, kulturowe i etyczne wreszcie skutki patologii, jaką zawsze jest bieda.



Pani Ewa trochę się ostatnio źle czuła. Poszła więc do przychodni, w której przyjmuje jej lekarz rodzinny. Doktor gruntownie ją przebadał, na szczęście okazało się, że to zwykłe przeziębienie, dostała zestaw leków. I nawet za długo nie czekała. Ale to wystarczyło, by dowiedziała się od innych pacjentek w poczekalni, że gdyby, nie daj Boże, wyczuła w piersi coś niepokojącego, za badanie mammograficzne musiałaby zapłacić, bo jest... za stara, by korzystać z badań, które opłaca Narodowy Fundusz Zdrowia. Bezpłatna mammografia przysługuje jedynie pacjentkom do sześćdziesiątego roku życia, choć przecież wraz z wiekiem ryzyko zachorowalności bynajmniej nie spada. Nie chciała uwierzyć w taką niesprawiedliwość – i absurd! Zapytała więc o to przy okazji swojego doktora. Potwierdził...

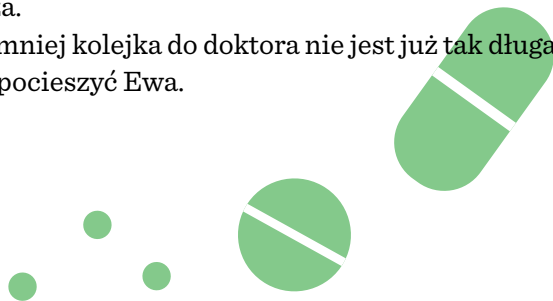


Lekarz dodał zresztą inne absurdy.

Dowodził, że to w kobiety najsilniej uderza częste zróżnicowanie dostępności usług medycznych w zależności od wieku – wszak żyją one statystycznie dłużej niż mężczyźni. Tymczasem, przykładowo, bardziej skuteczne leki na stwardnienie rozsiane refundowane są jedynie osobom, które nie przekroczyły czterdziestego roku życia. Kobiety w największym stopniu dotyka także dyskryminacja ze względu na wiek w sferze zabezpieczenia społecznego. Znowu przykład: program wsparcia dla osób niepełnosprawnych przewiduje dofinansowanie wózków inwalidzkich jedynie dla osób... w wieku produkcyjnym. A że to kobiety żyją zwykle dłużej, więc statystycznie więcej ich może takiego dofinansowania potrzebować.

„Pora umierać” – powiedziała jedna ze starszych pań czekających w poczekalni do lekarza.

„Ale przynajmniej kolejka do doktora nie jest już tak długa jak niegdyś” – próbowała ją pocieszyć Ewa.



B I B L I O G R A F I A :

Dane Eurostatu, na podstawie: <http://epp.eurostat.ec.europa.eu>.

Dane GUS, na podstawie: <http://www.stat.gov.pl>.

Leszek Kostrzewski, Piotr Miączyński, *ZUS wysyła informacje o naszej emeryturze*, „Gazeta Wyborcza”, 19.11.2010.

Irena E. Kotowska, Urszula Sztanderska, Irena Wóycicka, *Między domem a pracą – rekomendacje*, Warszawa 2007.

To ma być ustawa o równości? Ona dyskryminuje – z **Karoliną Kędziorą** rozmawia **Ewa Siedlecka**, „Gazeta Wyborcza”, 5.11.2010.

Wydatki na dzieci to też inwestycje – z **Ireną E. Kotowską** rozmawiają **Leszek Kostrzewski** i **Piotr Miączyński**, „Gazeta Wyborcza”, 13.09.2010.

